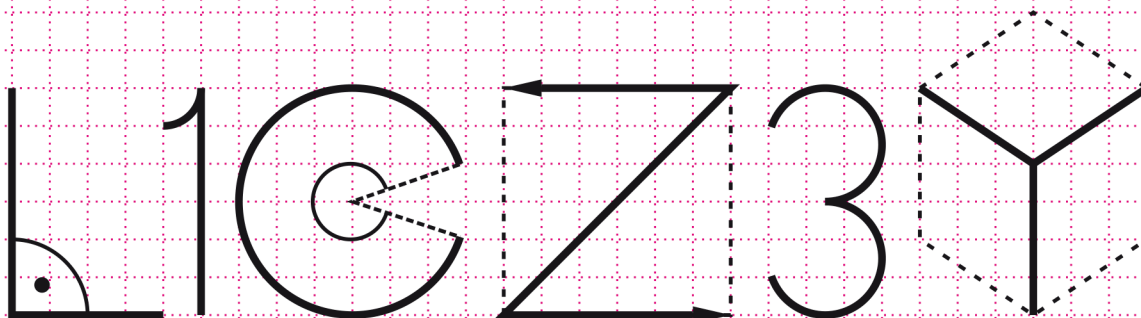


VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 03/2019 (44)



www.wbp.olsztyn.pl



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Policzyć i zmierzyć piękno przyrody

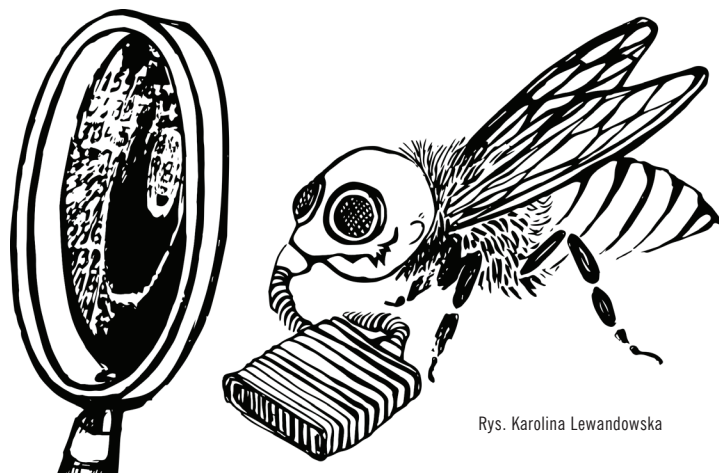
Czy można i czy warto mierzyć pozytywnym szkiełkiem i okiem przyrodę wokół nas? I czy 10 lat wystarczy, by zważyć, policzyć, pomierzyć różnorodność biologiczną biosfery? A nie wystarczy zachwycać się przyrodą nas otaczającą, jakże różną o każdej porze roku? Czy szkiełko i oko nie zakrywa nam piękna i nie utrudnia cieszenia się ulotnym światem wokół nas? Czy czasem uczucia (emocje) nie bardziej przemawiają do nas, ludzi zamieszkujących globalną wioskę początków XX wieku?

Nauki przyrodnicze, w tym biologia, której jestem szeregowym pracownikiem i pasjonatem zarazem, posługują się liczbami. Język matematyki staje się niezbędny w opisywaniu olbrzymiej różnorodności biologicznej. Co więcej, pomaga zrozumieć ją. Szkiełko, suwmiarka i komputery pomagają zrozumieć przyrodę? Tak. Bo matematyka jest specyficznym językiem. Dzięki liczbom, wykresom, złożonym statystycznym analizom dostrzegamy to, czego gołym okiem nie widać. Ani intuicji, ani emocjom. Ani nawet przez mikroskop, chromatograf, cytometr przepływowy. Duża ilość danych wymyka się ludzkiemu mózgowi. Dodatkowe wsparcie mocy obliczeniowej sztucznej inteligencji (Big Data) pozwala zobaczyć niewidoczne. I umożliwia zrozumienie. Bo przecież o pojęcie i sens chodzi. Na dodatek piękno ma często wymiar matematyczny.

Bez wątplenia żyjemy w świecie liczb. Tyle tylko, że nie wszystko liczymy. Nasza uwaga znacznie bardziej skupia się na ekonomii, na PKB, zysku, procentach, odsetkach niż na... bioróżnorodności. Choć nie wszystko da się (jeszcze) zmierzyć i policzyć, to matematyczny obraz piękna przyrody pozwoli nam zrozumieć świat. Ale niektórych nawet liczby nie przekonują, choćby nagie, wymierne fakty. Dalej pozostają przy płaskiej Ziemi, negowaniu antropogenicznego ocieplenia klimatu, masowego wymierania gatunków. Liczby nie do każdego przemawiają. Emocje są jak zabrudzone szkło w okularach – patrzysz, a i tak nic nie dostrzegasz. Albo dostrzegasz zupełnie inaczej.

Zbliża się do końca ONZ-owska Dekada Ochrony Bioróżnorodności (2011-2020). A wcześniej był Rok Różnorodności Biologicznej (2010). Czyli w sumie nawet 11 lat. Ponad 7 miliardów ludzi na Ziemi, blisko 10 lat. Ogromny potencjał, długi odcinek czasu, a nawet nie zdążyliśmy policzyć i opisać współcześnie żyjących bakterii, archeonów, jednokomórkowców, grzybów, roślin i zwierząt. Trwa wielkie, antropogeniczne wymieranie. W ciągu tych zaledwie 10 lat wiele gatunków bezpowrotnie wymarło, zanim zdążyliśmy je zobaczyć, policzyć i opisać naukowo. Niepoliczalne i niemierzalne piękno przyrody. Nie ma nawet najmniejszych śladów. To tak, jakby na makulaturę oddano wiele zupełnie przez nikogo nieprzeczytanych książek, niewysłuchanych przez nikogo nagranych piosenek, nigdy nieobejrzanych spektakli teatralnych. Żal utraconego i nieprzeżytego? Pewnie, że żal.

Był i jest potencjał kilku miliardów oczu patrzących na świat, setek milionów ludzi



Rys. Karolina Lewandowska

wykształconych, potrafiących pisać i stosować metodologię naukową. Było komu, było jak... Mimo to nie policzyliśmy. I nawet nie wiemy, ile gatunków żyło na Ziemi w czasie trwania Dekady Ochrony Bioróżnorodności. W rezultacie nie bardzo wiemy, co i jak się zmienia. Z ostatnio opublikowanych danych wynika, że w Europie Zachodniej w krajobrazach rolniczych ubyło do 70% biomasy owadów. To bardzo niepokojące. A jak jest u nas z owadami i całą bioróżnorodnością? Gospodarka zapatrzona w liczby nie bardzo dostrzega liczbowe zmiany w bioróżnorodności oraz nie chce zauważyć katastrofalnego w skutkach ocieplenia klimatu. Nie lubimy analizować wykresów? Nie ufamy ekspertom?

Liczymy i wydajemy policzone pieniądze na coraz większą produkcję, zakupy, konsumpcję i produkcję odpadów. Towary sztucznie postarzamy, by szybciej się zużywały i by było można jeszcze więcej produkować, jeszcze więcej konsumować. Rosną liczby w PKB. Ale rosną i góry śmieci, a kurczą się nieodnawialne zasoby środowiska. Tylko niektórzy dostrzegają negatywne zmiany i opisują je liczbami. Wśród nich są ekolodzy wołający na puszczy i młodzi ludzie organizujący strajki klimatyczne. I poeci piszący niechciane wiersze. Bez liczb nie widzielibyśmy zmian w otaczającej nas przyrodzie, w tym tych niepokojąco negatywnych i zagrażających naszemu dalszemu życiu na Ziemi. Liczby zbyt mocno uwierają naszą duszę?

Kultura może być także policzalna (mierzalna). Różnorodność w kulturze jest tak samo ważna jak różnorodność biologiczna. Nieustannie wymierają języki, bezpowrotnie zanikają opowieści oraz doświadczenia różnych grup etnicznych i kulturowych. Ginie nasze dziedzictwo. Dzięki liczbom możemy dostrzec ten rosnący brak. Wiele kultur zniknie, zanim je opiszemy, dostrzeżemy, policzymy, co umożliwiłoby teraźniejsze i późniejsze analizy, by szukać sensu i piękna otaczającego nas świata przyrodniczego i kulturowego. Chyba że policzą za nas komputery i roboty. Bo być może nastanie czas sztucznej inteligencji. Z coraz mniejszym udziałem człowieka...

Przyrodę można kontemlować. Albo liczyć i mierzyć. Jedno drugiemu nie przeszkadza, a nawet wzajemnie się wzmacnia i komplementarnie dopełnia. Poznaj więc liczby, by zrozumieć świat i odnaleźć w nim sens.

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Policzyć i zmierzyć piękno przyrody

03 WYWIADZ HANNĄ BOGORYJĄ-ZAKRZEWSKĄ rozmawia GABRIELA BURY:
Stwora, reportaż radiowy i młodzi dziennikarze**07 POEZJA**

WALT WHITMAN: Wiersze

08 PROZA

MARCEL KRUEGER: I już po wojnie...

09 i 13 POEZJA

EWELINA ZDANCEWICZ-PĘKALA: Wiersze

10 PROZA

WALDEMAR KONTEWICZ: Przechyństwo

14 PROZA

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK: Inne Daty

16 GALERIA

30 SALON ELBLĄSKI

18 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

KARINA DZIEWECZYŃSKA: 30 Salon Elbląski

19 FELIETON

PAULINA WAKAR: Sex, drugs and rock'n'roll – niepotrzebne skreślić

20 HISTORIA PEWNEGO DOMU

MAŁGORZATA WIŚNIEWSKA-JURKOWSKA: Rowery ślubne

22 HISTORIA

ANNA RAU: Nieskończony ruch elektronów i protonów

23 HISTORIA

ANITA ROMULEWICZ: Liczby według Bongo

24 INICJATYWA

AGNIESZKA WIRCHANOWICZ: Miasto w drodze

26 INICJATYWA

MAJA DZIECIĄTEK: Podwórka z natury w liczbach

27 INSTRUKCJA

JUSTYNA OSTROMECKA: Sitodruk jest zero-jedynkowy, nie znosi szarości

28 HISTORIA

WALDEMAR TYCHEK: „Outsider” Arno Holz i „Noblista” Thomas Mann

29 INICJATYWA

MARLENA BRZOZA: Robot z Olsztyna czyta książki (w bibliotece)

30 HISTORIA

TOMASZ GUDACZEWSKI: Zbiory podzbiory – kolekcje i zbieracze

Raz, dwa, trzy – raz, dwa – raz. Liczymy – na siebie, najlepiej. Liczby nam towarzyszą, chcemy za ich pomocą wszystko skatalogować – to, co jest, to, czego już nie ma, to, co mogłoby być. Posiadanie, zdobywanie czegoś jest sensem życia wielu z nas.

Policzyliśmy – czterdzieści cztery numery naszego pisma to co najmniej czterdzieści cztery wywiady z osobami związanymi z kulturą, głównie naszego regionu. Tyle samo galerii zapelnionych pracami twórców z Warmii, Mazur i Powiśla. Pewnie już ponad 200 wierszy i blisko 150 fragmentów prozy.

Można byłoby policzyć dokładniej, poukładać, ale nie będziemy tego robić, wyliczymy tylko to, co w bieżącym numerze. Poezja – 2 wiersze Eweliny Zdancewicz-Pękali, 3 Walta Whitmana z okazji 200. rocznicy urodzin. Proza x 3 – Waldemar Kontewicz, Marcel Krueger, Agata Grzegorzczak-Wosiek. Inicjatywa x 2 – Podwórka z natury i Robot z Olsztyna.

O liczbach w różnym kontekście piszą Anita Romulewicz, Anna Rau, Agnieszka Wirchanowicz czy Tomasz Gudaczewski.

Świat materialny jest policzalny, ale liczeniem można się zmęczyć, uff!

Redakcja życzy więc trochę duchowości
i zagłębienia się w antymaterii, cokolwiek to znaczy.

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 03/2019 (44)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztyntart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Karolina Lewandowska, Urszula Maciąg,

Anna Rau, Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatravski

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka przód: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska,

okładka tył: Katarzyna Łyszowska, ilustracje: Justyna Ostromecka

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z HANNAŃ BOGORYJA-ZAKRZEWSKĄ rozmawia GABRIELA BURY*

Stwora, reportaŃ radiowy i młodzi dziennikarze

Od 14 do 16 października 2019 roku w Warszawie w Studiu im. Agnieszki Osieckiej odbywał się jubileuszowy XXV Konkurs Stypendialny im. Jacka Stwory. Konkurs jest skierowany do młodych radiowców, którzy nie ukończyli 35 lat. Wielu z nich co roku oddaje swoje prace pod osąd komisji artystycznej, która z pomocą publiczności wyłania najlepszego twórcę. Stypendysta dzięki wygranej ma możliwość realizacji większego projektu podczas rocznej współpracy z mentorem. Z mojej perspektywy, osoby, która dopiero poznaje reportaŃ radiowy, uczestnictwo w Ogólnopolskim Seminarium ReportaŃu i Dokumentu było bardzo cennym doświadczeniem. Poznałam reportaŃystów, których na co dzień słucham w radiu lub na zajęciach na uniwersytecie. Miałam okazję porozmawiać również z panią Hanną Bogoryja-Zakrzewską, jedną z najlepszych reportaŃystek radiowych w Polsce.

Gabriela Bury: Jak na przestrzeni lat zmieniał się Konkurs Stypendialny im. Jacka Stwory, czy utrzymuje ten sam poziom? Jak ludzie podchodzą do tego konkursu?

Hanna Bogoryja-Zakrzewska: Nie wiem, na ile on się zmieniał przez te lata, trudno powiedzieć. Mam wrażenie, że jest ciągle tak samo. Bardzo ważne jest, kto zasiada w komisji artystycznej tego konkursu, jacy to są reportaŃyści i na ile są oni chętni, żeby pomagać młodym ludziom. Zdarzało się niestety, że osoby będące w tej komisji później były mało uchwytnie dla stypendysty. Natomiast zazwyczaj jest tak, że rzeczywiście są tam ludzie, którzy chcą się dzielić swoją wiedzą. Jury wybiera swojego laureata, a publiczność swojego. Najważniejszą sprawą w całym konkursie jest to, by wybrać dobrze, bo nie wszyscy są gotowi na to, żeby zostać stypendystą. Czasami jest tak, że zrobimy reportaŃ, którym wygramy, ale to był łut szczęścia – bo to się nagrało, niewiele pracy od nas wymagało, a później okazuje się, że tej osobie brakuje wielu umiejętności. Jeszcze jest za wcześnie, laureat się męczy i komisja również. Zawsze z tej współpracy ostatecznie powstanie jakiś dobry reportaŃ, ta osoba bardzo dużo się nauczy, ale tutaj właściwie chodziło o takie szlifowanie diamentów. To jest najtrudniejsze w „Stworze” i na przestrzeni lat jest lepiej lub gorzej. Według mnie jednak zawsze jest lepiej, mało było takich wpadek, że nie na tę osobę postawiono albo to jeszcze nie był jej czas. Zmieniają się na pewno tematy i to mnie bardzo cieszy. Dawniej było bardzo dużo reportaŃ historycznych, dlatego że komuś się kojarzyło, że ten gatunek radiowy musi być albo opowieścią o niepełnosprawnym, albo o chorym dziecku, żeby była tragedia i ły, albo o przesiedlonych z Kaukazu lub Syberii, a już najlepiej o II wojnie światowej. Zawsze mówię, że od młodych ludzi oczekuję, żeby oni opowiedzieli mi o bohaterach i zjawiskach, do których ja już nie dotrę, nie wiem o nich albo nie otworzę człowieka na tyle dobrze, ponieważ jestem dla niego za stara. Chciałabym, aby ci młodzi pokazywali

mi swój świat, opowiadali o nim, bo to będzie dla mnie coś zupełnie nowego i coraz częściej pojawiają się takie rzeczy. Mniej jest reportaŃ historycznych, ale są też takie próby, gdzie jeszcze ktoś nie umie dokładnie opowiadać historii, za to potrafi bawić się dźwiękiem i to jest po prostu genialne, ponieważ wiem, że jest to osoba, która myśli. Takie zmiany zauważam.

Bardzo interesujące jest to, co Pani powiedziała, że nie wszyscy są gotowi na tę wygraną i to jest ciekawostka dla tych, którzy nie brali udziału w tym konkursie. Co się dzieje po tym, jak ktoś wygra? Bo to nie koniec pracy, a dopiero jej początek.

Zdecydowanie jest to początek, a niektórzy mówią, że właśnie zaczyna się katanga, bo ten reportaŃ, którym wygrali, to najczęściej jakaś produkcja codzienna, no może troszeczkę lepsza, ale wciąż jednak codzienna. Natomiast później, kiedy już wygrają, kurz opada i jest takie: „O, Boże, mam teraz przez rok robić reportaŃ i nie mogę zrobić takiego zwykłego tematu. To musi być coś genialnego”, i to tak niesamowicie przygniata. Komisja zawsze prosi, żeby przygotować sobie trzy tematy i daje dwa miesiące od momentu wygrania na opisanie swoich pomysłów, o czym mają być reportaŃe i dlaczego ktoś chce zrobić taki materiał. Czasami komisja od razu wie, że ten temat nie wyjdzie, ale my jesteśmy na tyle otwarci, że mówimy: „Ok, chcesz spróbować, masz czas”. Wczoraj Aleksandra Łapkiewicz (Program Drugi Polskiego Radia) opowiadała o tym, że komisja pozwoliła jej trzy razy zmienić temat, bo my już od początku wiedzieliśmy, że na tym polegnie, ale chcieliśmy, żeby sama się przekonała. W tej komisji siedzą ludzie, którzy zjedli zęby na reportaŃu i oni czują, czy coś ma szansę, czy nie. Kiedy stypendysta w końcu ustali temat, wybiera też z grona oceniających takiego swojego promotora – osobę, do której może zadzwonić w każdej chwili, żeby nie zawracać głowy innym. Mentor doskonale panuje nad powstającym materiałem. Jest również głosem rozsądku, który będzie wspierał stypendystę i pomoże mu podjąć decyzję, w którym kierunku pójść, jak nagrywać lub jak zacząć robić własne nagrania. Po paru miesiącach odbywa się spotkanie z komisją i trzeba dać próbkę tego, co się do tej pory nagrało. To jeszcze nie musi być ułożone, ale musimy usłyszeć, czy ten bohater rzeczywiście to uniesie, czy on opowiada w sposób ciekawy, czy jest tam jakaś historia, czy są jakieś sceny. Podczas takiego spotkania pytamy o dalsze pomysły, można się poradzić, czego jeszcze brakuje, a następnie jest dalsza praca z promotorem. Ostatecznie spotykamy się na przyjęciu tej pracy albo jeszcze zgłasza się poprawki. Stypendysta dostaje również pieniądze i za nie musi zrealizować ten reportaŃ. To znaczy musi opłacić przede wszystkim realizatora, bo zawsze te prace powstają z realizatorem, ewentualnie „oprawcę” muzycznego, kogoś, kto dobrać muzykę, własne podróŃe, tak jak Katarzyna Błaszczyk, która opowiadała o „Listach Brazylija-Polska” i za te pieniądze po prostu pojechała do Brazylii. Można też

zachować je dla siebie, a można wydać wszystko na podróż. Jeśli ktoś ma w swoim redakcyjnym zespole takiego stypendystę, to troszkę bardziej pobłażliwie patrzy na to, że nie wykona on swoich codziennych obowiązków. A często wygrywają osoby, które nie są w redakcjach reportażu, tylko pracują w newsach. Prowadzą oni audycje popołudniowe i jest im ciężko wyrwać się, by mieć ten potrzebny czas oraz spokojną głowę.

Chciałabym poruszyć temat wyboru mentora. Jak z perspektywy uczestnika wygląda wybór tego artystycznego promotora? Kto może nim zostać?

Kiedyś było tak, że można było wybrać sobie dowolną osobę. Stwierdziliśmy, że jesteśmy dorosłymi ludźmi i nie będziemy nikomu niczego narzucać. Niestety – były to nie do końca trafione pomysły. Gdy wybiera się swojego redakcyjnego kolegę czy koleżankę, zawsze jest pewna trudność w „zjechaniu” arcydzieła radiowego. Kiedyś się zdarzyło, że na mentora wybrano kogoś, kto był dobrym i reżyserem, i reportażystą, ale nie miał czasu dla swojej podopiecznej. Komisja doszła do wniosku, że najlepiej będzie wybierać promotora z ich grona, z tego względu, że są to osoby, które się zobowiązały do działania. Postawiono warunek, że nie może być to ktoś, z kim pracuje się na co dzień w redakcji. Zauważyłam, że zdarzają się błędy, gdy ktoś wybiera mentora, który głównie stynie ze swoich prac, takich powiedzmy nieśledczych, psychologicznych traktatów uniwersalnych, co jest bardzo cenne. Natomiast w momencie, kiedy laureat chce zrobić reportaż śledczy, doświadczenie takiego promotora będzie za małe, by mógł pomóc młodemu reportażystce. Wiadomo, że sobie poradzi, ale to nie jest ten mentor, jakim mogłaby być osoba, która zawsze robi śledcze. Na to trzeba zwrócić uwagę i też podpowiadamy wygranym, chociaż trochę, żeby się zastanowili, przejrzeni twórczość tej osoby. Można się wiele nauczyć od innych, ale jak się chce później pokazać swoją pracę, to zawsze towarzyszy temu stres. Wszyscy chcą posłuchać, co ten stypendysta przez rok robił, jak mu się udało.

Współprowadzi Pani bardzo ciekawy blog „Torba Reportera” i, niestety, wśród studentów czy młodych dziennikarzy, którzy dopiero zaczynają, nie jest to miejsce do końca znane. Jak powstał ten blog i skąd pomysł na niego?

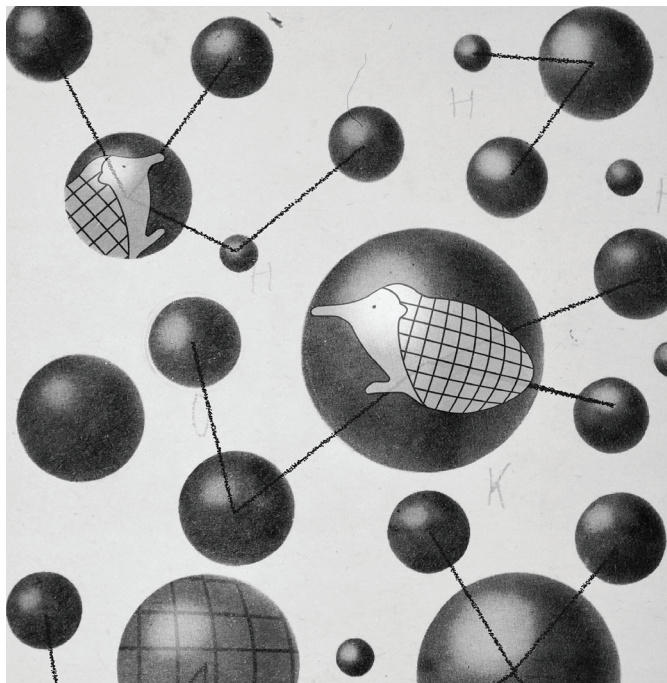
Dla nas to było niesamowite, że myśmy wysyłały na wiele uczelni, gdzie są kierunki dziennikarskie, informację z prośbą o przekazanie studentom, że powstał taki blog – miejsce, w którym będą mogli dostać wiedzę, której na studiach zazwyczaj się nie dostaje. Zorientowałyśmy się jednak, że w niewiele miejsc to dotarło. Co było dla nas zaskoczeniem, bo mamy takie poczucie misji, żeby uczyć tych młodych ludzi, a widocznie na uczelniach niekoniecznie to podziwiają, nie wiem, jak to się dzieje. Aż żal. Natomiast teraz same do tych młodych ludzi docieramy poprzez seminaria, warsztaty, wykłady. Na blogu, który prowadzę razem z Katarzyną Błaszczuk od dwóch lat, staramy się dzielić całą naszą praktyczną wiedzę na temat reportażu, ale nie tylko, bo to też sztuka wywiadu, nagrywania, otwierania rozmówcy. Teraz zajmujemy się podcastami, w związku z tym mówimy o tym, jaką przestrzeń dźwiękową wybrać do naszych nagrań czy jaki powinien być sprzęt. Jest oczywiście też miejsce do tego, żeby zadawać pytania. W tej chwili mamy 90 wpisów, uważam, że bardzo wartościowych, dlatego że

odpowiadamy na pytania, na które musimy odpowiadać podczas spotkań ze studentami, czyli: Jak się dostać do radia? Jak pani znajduje tematy? Jak zacząć opowieść? Jak zakończyć opowieść? Jak zadawać trudne pytania? Jak zrobić reportaż historyczny, a jak zrobić reportaż śledczy? Mamy też serię filmów, w których opowiadamy o tym, jak otworzyć rozmówcę, co zrobić, jeśli przyszedł na nagranie z kartką i chce nam wszystko z niej przeczytać, a nie chce niczego powiedzieć własnym głosem. Tych wszystkich rzeczy osobiście uczyłam się w praktyce, a robiłam to od Ireny Piłatowskiej i od Krystyny Melion, z którymi byłam w redakcji. I one po prostu mówiły tak: „Nagraj reportaż”. Więc ja nagrywałam, przychodziłam, montowałam go sama przez miesiąc. Są takie miejsca w kraju, gdzie zajęcia prowadzą reportażystki albo osoby, które są teoretykami, ale również się na tym znają. Generalnie mam takie wrażenie, jak rozmawiam ze studentami czy młodymi dziennikarzami, że ich się nie uczy w praktyce, że trzeba się przygotować do rozmowy, zanim się pójdzie. A co to znaczy przygotować się? Nie uczy się, jak nagrywać przez telefon, kiedy uprzedzić o tym rozmówcę. Przecież to są takie pytania, z którymi spotykamy się w praktyce. Czy mam od razu powiedzieć, że nagrywam, czy dopiero na końcu rozmowy? Za mało się przygotowuje do zawodu, mało się mówi o etyce, a to jest bardzo ważne. Nagrywanie dzieci na przykład – co nam wolno, a czego nie. Ja tych przykładów etycznych zachowań mam na pęczki. Przy każdej okazji mogłabym o tym opowiadać. Z mężem robiłam reportaż „Szlaufy”, który stał się podstawą filmu „Galerianki”, a tam przecież tych pytań, co wolno dziennikarzowi, było mnóstwo. Tym bardziej, że mieliśmy dwa punkty widzenia – mojego męża, który pracował wtedy w „Interwencji” w Polsce, gdzie nagrywanie ukrytą kamerą było normą, i moje – reportażystki radiowej, która prawie nie używa ukrytego mikrofonu, tylko w wyjątkowych sytuacjach. Nie zliczę, ile było naszych kłótni o to, co wolno, czego nie wolno, i o tym się powinno mówić na studiach.

Czy Pani zdaniem dziennikarstwa można się nauczyć? Czy trzeba mieć jakiś talent, specjalne cechy?

Według mnie muszą być takie cechy, bo gdyby tak zapytać na sali (tutaj podczas konkursu), to potowa powie, że są nieśmiałyimi osobami, włącznie ze mną. A to w niczym nie przeszkadza, bo ważne jest, czy w momencie, kiedy już bierzemy mikrofon do ręki, stajemy się troszeczkę innymi osobami i w tym poczuciu misji, bo takie często nam towarzyszy, przeobrażamy się w osobę, którą świetnie nazwała rok temu Jolanta Krysowata – „kulturalnie beczelną”. Bo taki powinien być dobry dziennikarz – kulturalnie beczelny. I wtedy on musi być takim dziennikarzem, który się nie boi, że ktoś mu zatrzśnie drzwi przed nosem. Znajdzie wtedy inne wejście, czy to okno czy inne drzwi, prawda? A może przemówi do czyjegós serca, żeby go wpuścić. Jednocześnie musi być bardzo wrażliwą, myślącą i odczytaną osobą, która potrafi skupić się na drugim człowieku, stara się wejść w jego uczucia, wyobrazić sobie daną sytuację i postawić trafne pytania. Zawsze mówię, że reportażysta różni się od dziennikarza tym, że jak jest informacja w gazecie: „Niewinny siedział w więzieniu 12 lat i wreszcie go wypuścili”, to oczywiście wszyscy dziennikarze newsowi tam jadą. W zasadzie oni mają jedną, najważniejszą, potrzebną umiejętność – rozpychać się dobrze łokciami, żeby jako pierwszy podstawić ten mikrofon i zadać to pytanie: „A jak pan się czuje? Co pan myśli? Co

pan teraz zrobi?”. Reportażysta w tym czasie siedzi w domu i kombinuje – jak pojedą do tego człowieka, to o czym ja będę z nim rozmawiać, co jest fascynującego w tej historii? Z mężem po takiej informacji prasowej poczuliśmy, że chcemy zrobić ten temat. To siedziało w nas bardzo głęboko. Przecież gdy taka osoba siedziała 12 lat w więzieniu, to przez ten czas cały świat na zewnątrz się zmienił, pojawiły się nowe telefony, komputery, tematy, w których on się nie orientuje. Wszystko się zmieniło, dla niego to nowy świat. Po drugie, będzie żył do końca życia z piętnem mordercy, a to na pewno rozwaliło mu życie rodzinne, utrudni znalezienie pracy – poobserwujmy to. Jak się czuła jego mama, która przez 12 lat była matką mordercy, bo tak się mówiło w małej miejscowości, w której on żył. Duża liczba tych pytań się w nas pojawia i kombinujemy, gdzie możemy je zadać, to znaczy, gdzie musimy się udać z naszym bohaterem, żeby nie siedzieć z nim i opowiadać. Jak zacznie nam mówić przez cały dzień o sobie, to w pewnym momencie się zmęczy, będzie już odpowiadał coraz krócej, coraz gorzej. Trzeba z nim pojechać, umówić się na 3-4 dni, powolutku go oswajając, żeby nam zaufał – pojechać to do domu, to potowarzyszyć mu w pracy, to na spotkaniu z żoną czy z matką. Newsowiec nie ma na to czasu. Czy można się tego nauczyć? Pewne rzeczy trzeba mieć w sobie, właśnie tę kulturalną bezczelność i ciekawość drugiego człowieka, ale i nieocenianie tego, z kim rozmawiamy. Trzeba mieć chęć odkrycia jakim ja jestem człowiekiem, bo także w nas są pytania. Jeżeli się to ma, to później można nauczyć się warsztatu. Z kolei jeśli nauczymy się warsztatu, a nie będziemy mieli predyspozycji, to możemy stać się rzemieślnikiem, ale nie artystą i zawsze będzie czegoś brakowało w tych reportażach. Nie można też być takim dziennikarzem w ciepłych kapiach, który się będzie bał. Dziennikarz nie może się bać.



Graf. Justyna Ostromecka

Czy jest jakiś przepis na udany reportaż radiowy?

Przepisem jest przede wszystkim materia, czyli dobra opowieść. Musimy znaleźć dobrego bohatera albo dobre zjawisko, które chcemy opowiedzieć. Takie, które już samo w sobie jest dobre. W przypadku radia musimy pamiętać o tym, że nas uwodzi głos i dźwięk. Ja sobie ułatwiam połowę mojej pracy, wyszukując ludzi, których głos już nam coś niesie, coś, co nas porywa – więc znaleźć bohatera, który ma ciekawą historię, taką, która nie jest banalna, czymś nas zaskoczy – a takich bohaterów mamy mnóstwo, tylko trzeba się dobrze rozejrzeć. Albo jakieś zjawisko, które się dzieje, żeby było jakieś „dziejstwo”, jakaś akcja, sprawa. I też od razu się nastawić, że musi to być ktoś, kto nas będzie uwodził samym brzmieniem głosu. Warto również myśleć wcześniej, w jakich przestrzeniach nagrać tę osobę – żeby to nie była tylko taka rozmowa oparta na siedzeniu w pustym pokoju, wtedy nic nam nie zagra. Czasami można banalnie napić się herbaty, otworzyć drzwi, zaszczeeka nam pies i jeszcze obejrzymy zdjęcia, ale tym nie porwiemy nikogo.

Ja bym się nie martwiła z tym reportażem radiowym, że on umiera, bo ja jak długo pracuję, a pracuję już 30 lat, to słyszę, że reportaż radiowy umiera. My jesteśmy niszowi i z tym trzeba się pogodzić. My nigdy nie będziemy mieli tak dobrze jak, no nie wiem, chociażby ludzie z reportażu literackiego. Nigdy nie będziemy Szczygłem, Tochmanem czy innymi nazwiskami – po prostu nie. Ale! Zawsze będziemy mieli swoich fanów. I co więcej, jest w tej chwili wielki renesans dźwięku, także wśród młodych ludzi, w podcastach – i to jest przyszłość radia. BBC już to odkryło.

W Polsce poznałam środowisko młodych podcasterów, którzy po prostu są zachwyceni – nie chcą nagrywać filmików na YouTube, oni chcą audio. Niedawno byłam na konferencji w Poznaniu – spotkałam stu młodych ludzi, którzy chcą nagrywać audio. Mówię: „Czego Wy słuchacie?“, a oni mówią, że słuchają podcastów innych i to są takie monologi albo dialogi, które trwają pięćdziesiąt minut. Ja bym nie była w stanie już tego wysłuchać, bo już się przyzwyczaiłam, że musi być napięcie, że coś się musi dziać. A tu? Oni tego słuchają i myślę, że gdyby radio swoje reportaże też umieszczało właśnie jako podcasty i dobrze to wypromowało, to byłoby ok. Nigdy mi się to nie zdarzyło na warsztatach, a prowadziłyśmy przez rok zajęcia w szkole podstawowej z klasą siódmą i ósmą, czyli bardzo młodzi ludzie. Zaczynałyśmy zawsze od puszczenia reportażu i można poznać, kiedy ludzie udają, że im się podoba, z grzeczności, chociaż młodzi ludzie z grzeczności nigdy niczego nie udają. Jeżeli jest dobra opowieść – zawsze się wciągną, ale oni po prostu nie trafiają na ten reportaż, bo nie mają gdzie, słuchają innego radia. Innych kanałów nawet, nie radia, więc trzeba by z tym reportażem dotrzeć do tych kanałów, gdzie młodzi słuchają i wtedy by słuchali także reportażu. I tak się robi na Zachodzie, dlatego oni się tam w ogóle nie martwią o ten gatunek. Ale tak jak mówię – trzeba mieć świadomość, że to nigdy nie będzie sztuka dla mas, opowieść dla wszystkich, po prostu – albo chcesz w tym być, albo nie.

*GABRIELA BURY – studentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej UWM w Olsztynie, uczestniczka Radiowego Koła Naukowego (opiekun dr Magdalena Szydłowska).

WALT WHITMAN

Wiersze przełożył KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

DO POSPOLITEJ PROSTYTUTKI

Bądź spokojna — bądź ze mną beztroška — ja jestem Walt Whitman, wolny i krzepki jak Natura,
 Dopóki słońce cię nie ominie i ja cię nie ominę,
 Dopóki wody nie odmówią ci swego blasku, a liście swego szelestu, również moje słowa nie odmówią ci blasku i szelestu.
 Dziewczę me, umawiam się z tobą na spotkanie i płacę ci, byś poczyniła przygotowania, abyś była godna mnie spotkać,
 A płacę ci, byś była cierpliwa i doskonała, gdy przyjdę.
 Do tego momentu pozdrawiam cię znaczącym spojrzeniem, abyś mnie nie zapomniała.

ZASADY STWORZENIA

Zasady stworzenia,
 Dla silnych przywódców i artystów, dla nowych rozmyślań o Ameryce nauczycieli i doskonałych pisarzy,
 Dla szlachetnych uczonych i nadchodzących muzyków.
 Wszystko musi być powiązane z porządkiem świata i związła prawdą o świecie,
 Żaden przedmiot nie będzie zbyt wyraźny — wszelkie dzieła będą obrazem boskiego prawa.
 Jak sądzisz, czym jest stworzenie?
 Jak sądzisz, co mogłoby zaspokoić duszę, poza wolnością i brakiem władzy zwierzchniej?
 Jak sądzisz, cóż innego mógłbym sugerować ci na sto sposobów, jak to, że mężczyzna i kobieta są jednakowo dobrzy jak Bóg?
 I że nie ma Boga bardziej boskiego niż Ty sam?
 I że w końcu to na tym polega sens najstarszych i najnowszych mitów?

MIEJSKA KOSTNICA

Przed miejską kostnicą, pod bramą,
 Przechadzając się bez celu z dala od zgiełku,
 Zaciekawiony przystaję, oto ktoś z marginesu, przywieziono martwą biedną prostytutkę,
 Jej zwłoki czekają na przyjęcie, złożone na wilgotnych cegłach chodnika,
 Boska kobieta, jej ciało, widzę ciało, spoglądam na nie w samotności,
 Na dom niegdyś pełen namiętności i piękna, niczego więcej nie zauważam,
 Ani ten chłodny spokój, ani woda płynąca z kranu, ani odór śmierci nie robią na mnie wrażenia,
 Ale sam dom — ten cudowny dom — ten delikatny jasny dom — ta ruina!
 Ten dom nieśmiertelny bardziej niż wszystkie szeregi mieszkań jakie kiedykolwiek wzniesiono!
 Albo Kapitol z białą kopułą zwieńczoną majestatycznym posągami, czy wszystkie katedry z wysoko wzniesioną iglicą,
 Ten mały, samotny bardziej niż wszystkie inne — ubogi, pogrążony w rozpacz dom!
 Jaśniejący, straszliwy wraku — siedlisko duszy — sam jesteś duszą,
 Opuszczoną i unikaną — weź choć oddech z moich drżących warg,
 Weź tzę upuszczoną na stronie kiedy przechodzę myśląc o tobie,
 Martwy domu miłości — domu szaleństwa i grzechu, strzaskany, zmiażdżony,
 Domu życia, do niedawna rozgadany, roześmiany — a jednak, biedny dom, martwy już wówczas,
 Miesiącami, latami głośny, strojny dom — a jednak martwy, martwy, martwy.

WALT WHITMAN (1819-1892) jeden z największych poetów amerykańskich. Entuzjasta postępu i wizjoner wolnego społeczeństwa, wrażliwy komentator rodzącej się amerykańskiej nowoczesności, egalitarysta i humanista. Często określany mianem „ojca wolnego wiersza”, łączył filozoficzny transcendentizm z literackim realizmem. Pracował jako dziennikarz, urzędnik i nauczyciel. Główne dzieło poety to ponad 400-stronicowy zbiór wierszy i poematów *Leaves of Grass* (*Żdźbła trawy*), wydany po raz pierwszy w 1855 r. nakładem poety. W ciągu ponad trzydziestu lat przekształcił się w cykl ponad czterystu wierszy i poematów. Najważniejsze teksty z tego zbioru tłumaczono wielokrotnie na język polski. W 200. rocznicę urodzin prezentujemy wiersze z przygotowywanego do druku wyboru.

MARCEL KRUEGER

I już po wojnie... przełożyła BARBARA SAPAŁA

Każdy mężczyzna w swoich marzeniach jest wojownikiem. I nie powinien dziwić fakt, że przez stulecia mężczyźni (łącznie ze mną) zafascynowani byli walkami, wojnami i scenami batalistycznymi. I wielu z nich, podążając za ową fascynacją, znalazło najpierw mundur, a potem ból, kalectwo, śmierć. Świadectwem tego są liczne cmentarze wojenne na Warmii – są tu groby Rosjan zabitych przez Niemców, zabitych przez Niemców Polaków i Niemców zabitych przez Rosjan.

Takim miejscem, które dla mnie symbolizuje nie tylko owo pragnienie stawy, ale i to, jak potrafił wynaturzyć je nacjonalizm, jest porośnięty trawą pagórek położony na zachód od Olsztynka. Do 1945 roku znajdowało się tam słynne Mauzoleum Hindenburga (oficjalna nazwa to Pomnik Narodowy Bitwy pod Tannenbergiem, znany jako Tannenberg-Denkmal).

Kwadrans na zachód od Olsztynka, w jednym z najwyższych usytuowanych miejsc na terenie dawnego pola bitwy znajduje się Narodowy Pomnik Bitwy pod Tannenbergiem, 193 m (tuż przed nim, przy drodze, restauracja Tannenbergkrug z płaskorzeźbą przedstawiającą bitwę pod Tannenbergiem; latem codzienne wykłady o przebiegu bitwy, 50 Pf.) autorstwa Waltera u. Joh. Krügerów, odsłonięty w 1928 r. Zwiedzanie: w okresie letnim 8-18, w okresie zimowym 9-17 codziennie zwiedzanie z przewodnikiem 50 Pf. Osiem potężnych, wysokich na 24 m wież otacza Honorowy Podwórzec.

Griegen Reiseführer Ostpreußen [Przewodnik po Prusach Wschodnich], 1938

Pomnik ten, zaprojektowany i wykonany przez berlińskich architektów, z którymi dzieli nazwisko, poświęcony był żołnierzom biorącym udział w bitwie pod Tannenbergiem w 1914 r., jedynej potyczce z okresu I wojny światowej, która zakończyła się jednoznacznym zwycięstwem Niemiec. Dowodzącego niemieckim wojskiem feldmarszałka Paula von Hindenburga okrzyknięto wówczas bohaterem narodowym (a później wybrano na prezydenta Republiki Weimarskiej, ostatniego przed przejściem władzy przez Hitlera). Pomnik zaś stał się jedną z najważniejszych atrakcji turystycznych w Prusach Wschodnich i miejscem, w którym odbywały się niezliczone imprezy masowe, jak chociażby pogrzeb Hindenburga w 1934 roku, kiedy to trumny jego i jego zmarłej w 1921 roku żony Gertrudy wbrew woli feldmarszałka złożono w krypcie wewnątrz pomnika. Hitler nakazał przebudowę obiektu i przemianował go na „Reichsehrenmal Tannenberg” [„Pomnik Chwały

Rzeszy Tannenberg”]. W 1944 stał się on miejscem pochówku nazistowskiego generała Güntera Kortena, który zginął 20 lipca podczas zamachu przeprowadzonego przez hrabiego Clausa Schenka von Stauffenberga. Choć pomnik istniał jedynie przez krótki okres, historia Prus Wschodnich i Niemiec nie zna wielu budowli, które by tak fascynowały historyków i pisarzy, jak właśnie Mauzoleum Hindenburga. Jak pisze Max Egremont w *Forgotten Land* (2011):

Budowla ta przytłaczała masą, emanowała silnym poczuciem trwałego zakorzenienia w tej ziemi, a że znajdowała się na lekkim wzniesieniu, odwiedzający szli ku niej, jak gdyby była miejscem świętym. Cegły musiały w słońcu przypominać ciemne płomienie, a przy zachmurzonym niebie wydawać się prawie czarne, jakby na przemian tonęły to w ogniu, to w burzy.

Warmiński historyk Bogumił Kuźniewski w swoim eseju *Tannenberg-Denkmal. Wielkość i upadek* (2014) pisze tak:

Propaganda faszystowska robiła wszystko, aby rozpropagować to miejsce w całych Niemczech. Wydawano książki, przewodniki, tysiące widokówek, a nawet specjalne znaczki pocztowe z widokiem pomnika-mauzoleum. W każdej miejscowości związanej w jakiś sposób z bitwą stawiano pomniki, fundowano tablice lub specjalne witraże w kościołach, czcząc w ten sposób zwycięstwo armii niemieckiej.

A Andreas Kossert w swoim eseju historycznym *Prusy Wschodnie. Historia i mit* (wyd. oryg. 2005) stwierdza:

Pompatyczny tannenberski pomnik narodowy [...], tuż przy polskiej granicy, bez wątpienia miał być prowokacją. Z tym jednym jedynym sukcesem strony niemieckiej wiązano nadzieję, że z pomocą ducha tannenberskiego będzie można zrewidować wersalskie granice na wschodzie.

W przeciwieństwie do mojego dziadka Willego, męża mojej babci Cilly, który jako pionier w Wehrmachcie służył na wschodnim froncie, czy do brata mojej babci – Franciszka, który w szeregach tej samej armii brał udział w marszu na Polskę i Francję, ja osobiście nie mam żadnego wyobrażenia o wojnie, wojennych

EWELINA ZDANCEWICZ-PĘKALA

machinacjach i żołnierskich doświadczeniach. Dorastałem w pokojowej Europie, za co jestem bardzo wdzięczny. Ale jest pewna prawda o pomnikach takich jak ten tannenberski, którą dostrzega nawet taki pacyfista jak ja – otóż większość pomników wojennych ma charakter antagonistyczny. Nie są one nigdy stawiane po to, aby ukazać kontekst walki czy indywidualne przeżycia poszczególnych jej uczestników. Istnieją oczywiście pomniki, które przypominają o uzasadnionym sprzeciwie tyranowi czy o heroicznej walce w obliczu pewnej śmierci. Ale Tannenbergs-Denkmal do nich nie należał.

Z pomnika nic dziś nie zostało. Tylko pylista droga wiodąca przez las i mała, odchodząca od niej ścieżka, która prowadzi do dawnego, okalającego pomnik muru, który teraz, porośnięty zielenią, otacza pokryta trawą i wybijającym zielskiem pole – dawny Podwórzec Honorowy z pracowicie uwijającymi się pszczołami i muszkami. Zajrzałem tam i pomyślałem o tych wszystkich mężczyznach (znów mężczyźni), którzy przybyli tu, aby uzyskać potwierdzenie dla swojej sprawy, o tłustym Hermannie Göringu, który na pogrzebie Güntera Kortena siedział tu, niczym karykatura kowboja, na zbyt wąskim dla jego tuszy krześle, z pistolecikiem przytrzymanym do rozlewającej się talii. Myślałem o tych wszystkich odartych z iluzji mężczyznach, którzy odwiedzali pomnik i jednocześnie w duchu pielęgowali swoje własne „zwycięstwo”. O mężczyznach, którzy sfrustrowani Republiką Weimarską i pozycją Prus Wschodnich razem ze swoim Wodzem niestrudzenie siali niezgodę i o tym, jak łatwo ta prosta budowla wzmagała jeszcze ich pychę. Parafrazując Bertolta Brechta, nieszczęśliwy to kraj, który potrzebuje bohaterów z kamienia.

Kiedy w 1945 Armia Czerwona była coraz bliżej, niemieckie oddziały wywoziły szczątki Hindenburga i częściowo zburzyły pomnik. W 1949 polskie władze zdecydowały o całkowitej rozbiórce ruin, tak, że pozostały jedynie nieliczne ślady dawnej budowli. Granitowe płyty z Honorowego Podwórca wykorzystano przy budowie nowego pomnika, jaki na cześć Armii Czerwonej wzniesiono w Olsztynie w 1954 roku. Ale to już opowieść na inną okazję.

Lubię Tannenbergs-Denkmal takim, jakim jest teraz – porośnięty roślinnością pagórek bez żadnej misji, na nowo zaanektowany przez przyrodę. Jedyną istotą, jaką spotkałem w drodze powrotnej do samochodu, był mały, gruby piesek, który najpierw popatrzył na mnie nieufnie, by już po chwili pozwolić się głaskać po pękatym brzuszku.

MOJA WRÓŻKA MNIE POCIESZA

niech pani nie dąży do sprawiedliwości
jego racja
i tak będzie najważniejsza

przecież mówiłam pani
że życie siódemki z ósemką
to zwykła autoagresja
czysta numerologia

a to poczucie krzywdy
proszę zamienić w coś twórczego
w pieniądze na przykład
z pani żydowską karmą
nie powinno to być nic trudnego

w końcu
w 2020 widzę u pani dużo pieniędzy
więc będzie stać panią na benzynę
żeby płakać w tym samochodzie

EWELINA ZDANCEWICZ-PĘKALA – (ur. 11.11.1993 r.) dziennikarka, zastępca redaktora naczelnego portalu Zagrano.pl; autorka tomiku *Wycieczki osobiste*. Z wykształcenia pedagog i socjoterapeuta. Prezes klubu Olsztyn Toastmasters, w którym ćwiczy się publiczne przemawianie. Obecnie pracuje nad tomikiem *Tatusz bawił się w chowanego*, który opisuje historię życia jej babci.

WALDEMAR KONTEWICZ

Przeczywistość

Pozwólmy sztormowym falam kołysać oceaniczną łajbę narracji: słowo za słowem, zdanie za zdaniem aż do samego portu, gdzie na magicznych żeglarzy czeka szklanica grogu.

Ale, zanim wyptyniemy w morze, może zaczniemy opowieść w Braniewie, w zapomnianym porcie wielkiej Hanzy, na ulicy Zwycięzców, gdzie pędzono bimber w blasku księżyca.

Niezrozumiałym dla braniewskich podrostków było podpieranie olbrzymich drzwi do pruskiego mieszkania kilogramowym meteorytem. Dziadek Arnolda, Symeon, domorosły przyrodnik, wykopał kosmicznego wagabundę z dna wodnego oczka, które trzymało deszczówkę do podlewania pomidorów i ogórków. Kiedy z samego rana napełniliśmy wodą konewki, srebrno-włosy weteran dwóch światowych kataklizmów snuł teorię istoty powojennego rumowiska, tego widzialnego i tego ukrytego w każdym z nich – pokiereszowanych potomków Apokalipsy. Każda cegła, góra gruzu, sterczący pręt, pocisk, przerwane brutalnie życie wymieszane było z bieżącym dniem, oddalającym się wraz z urodzonymi tuż po wojnie smarkaczami, niczym spłoszone wiatrem modele żaglówek puszczane na Zalewie Wiślanym. Składane przez nas miniaturowe epoksydowo-teksturalne jachtów, nabytych w składnicy harcerskiej, wyposażone w maszty, liny, reje, żagle, szoty, gejtawy, gordingi chciały płynąć do Ameryki.

Każdy statek na wielkim oceanie wymaga sztucznych oczu nawigacji. Nie inaczej było z naszymi zabawkami. Nie mieliśmy sekstantów, ani nawet zegarków, tylko jedną mapę morskiej nawigacji wokół wyspy Borneo, wygrzebanej przez starego Symeona z jego ponemieckiego archiwum. Pruski gotyk wzmagał naszą ciekawość i pęd do morskich podróży. Jednakże Indonezja nie była po drodze do Nowego Świata, a z Arnoldem rozstałem się szybciej niż z braniewską młodocianością. Zgubmy kilka lat, aby to opowiadanie nie zatoneło w chaosie zdarzeń!

Oto przyszedł czas na moje wymarzone bieżenie do Ameryki: Olsztyn z fizyką, bakatarzenie na Kurpiach i w Beskidach, dwie córki, niemiecki schron lat 80. ubiegłego wieku, lot nad oceanem do Kanady. Nareszcie Ziemia Obiecana: rok układania jogurtów w olbrzymich tirach, 25 lat uczenia prawideł matematycznych uczniów szkoły średniej w Toronto, dodawanie lat do emerytowanego jestestwa. Meandry typowe dla każdego emigranta (?) do momentu, kiedy stanąłem w kolejce do kasy w polskich delikatesach „Starski”. Kontemplując wolność i zangielszczany język polski, zwróciłem uwagę na stojącego za mną mężczyznę. Odwróciłem się dwa razy i: „Waldek?”, „Arnold?”.

Podróżowanie ma to do siebie, iż na pięćdziesiąt lat w przód czasem potrzeba czterech dekad. Mój cudem odnaleziony przyjaciel z czasów krótkich majtek napiął niezawodne żagle, by halsować ze mną w czasoprzestrzeni wspomnień. Zamieniłem się w dorosłego majtka, kiedy usiedliśmy w aneksie gwiazdowego marketu w kawiarni Prego.

Opowiadanie Arnolda:

„Dziadek Symeon pozostał do końca swojego życia w moim dorastaniu. Doradzał

i w odpowiednich momentach wyposażał mnie w wiedzę i dziwaczne instrumenty pozwalające na zrozumienie prawideł świata przyziemnego i nieboskłonowego. Meteoryt-skobel odziedziczyłem jako szesnastoletni młodzieniec w dniu swych urodzin. To było podstępne działanie skutkujące poszukiwaniem reguł rządzących wszechświatem. Po dotknięciu kilogramowej części presolarnego uniwersum nie pozostawało nic innego niż wyjście z ruin Braniewa. Taka kopernikańska rewolucja w życiorysie nastolatka. Na kilka miesięcy przed śmiercią Symeon podarował mi teleskop, zegarek-sekstant Arnold & Son i figurkę pochylonego diabełka z olbrzymim, horyzontalnie sterczącym, czerwonym penisem. Do darowizny załączył życzenie, aby bezcenne przyrządy poprowadziły każdego do lepszego świata niż ten zafundowany przez architektów zła”.

W pękających kubkach parowało grzane wino, chronometr Prego tykał nieregularnie. Skróćmy zatem lata, a wydłużmy minuty:

„Studiowanie matematyki, nauka języka niemieckiego, wycieczki po krajach tzw. demoludów zaprowadziły mnie do urokliwej przystani, która nazywała się Yasmine Brama. Yasmine była bibliotekarką w Rostocku. To tam odłączyłem się od kolegów, podróżujących ze mną po dawnych Wschodnich Niemczech. Nie mieliśmy złudzeń z moją nową dziewczyną, ze zniewolenie, którego doświadczaliśmy codziennie w Polsce i NRD, unicestwi się samo. Postanowiliśmy popłynąć ku wolności na gumowym materacu. Nocą wdarliśmy się na dziką plażę blisko granicy z wolnym światem – Zachodnimi Niemcami. Wtedy rzeczownik „Zachód”, w językach ujarzmionych krajów Wschodu, kojarzył się z mitycznym światem, z wolnością, która panoszyła się bezwstydnie na ulicach i w domach zwykłych ludzi. Ta umowna geograficzna nazwa miała w sobie tyle ładunku emocjonalnego dla mnie i Yasmine, że postanowiliśmy zaryzykować wszystko. Wyptynęliśmy w upalny, sierpniowy dzień na dwóch materacach. Po jakimś czasie nasz horyzont nie opierał się już o żaden brzeg. Stojące w zenicie słońce paliło nas, mały sakwożaż z Czarodziejską Górą, kilkoma zachodniemieckimi markami i Lucyperem gotowym do odwiecznej prokreacji. Po kilku godzinach podpłynęła do nas motorówka z uzbrojonymi po zęby pogranicznikami ze Wschodnich Niemiec. Yasininowy teatr życia rozpoczął parapsychologiczne wykręcanie mózgow oprawców z zaciśniętymi zębami i łapskami na narzędziach śmierci. Udawaliśmy, że przysnęło się nam na materacach po wyptynięciu z plaży blisko granicy. Na rozkaz okazania dokumentów Yasmine rozłożyła ręce i powiedziała, że mamy przy sobie tylko książkę, wydaną w Hamburgu, trochę zachodnich marek i szatana ze stojącym kutasem, jak przedstawiła materacowe dzieło sztuki wielbicielek Manna.

Najwyższy stopniem, prawdopodobnie dowódca, zapytał o nazwiska. Przedstawiliśmy się jako Yasmine i Arnold Brama z Lubeki. Piękna, z wyrazem twarzy zupełnie zagubionej, a właściwie naiwnej, nieprzeciętnie inteligentna bibliotekarka była tak niewinna, ujmująca i wiarygodna, że rehotający żołdacy zauroczeni czerwonym kutasem wygnali nas na wody eksterytorialne z wyszczekaną groźbą, że następnym razem będą strzelać do każdego zmanierowanego hipisa. Tak precyzyjnie się przez igielne ucho wolności, zahaczając o krawędź niebytu”.

Mój biologiczny metronom, zdeorientowany zupełnie opowiadaniem Arnolda, mieszal dzień z nocą, jesień z wiosną, Braniewo z Kanadą.

„W Hamburgu zakotwiczyliśmy na dłuższy czas. Jednakże, pod koniec lat siedemdziesiątych, postanowiliśmy sprawdzić, na czym polega mit i bogactwo kraju wymawanego jednym tchem we wszystkich językach świata: Kanada. Zwykłą podróż zamieniliśmy w przeprowadzkę, tym razem bez materacy i karabinów, ale z wciąż płodnym Lucyferem. Zagospodarowaliśmy się w Toronto jako obywatele wolnego świata – Kanadyjczycy po pięciu latach, ale wciąż banici. Yasmine tęskniła za rodzicami w Rostocku, ja natomiast marzyłem o Braniewie, ulicy Zwycięzców, Zalewie Wiślanym i mojej rodzinie. To nie żywioł oceanu, ani zwykli ludzie traktowali nas persona non grata, to władze z nadania okupanta odmawiały kontaktu z naszymi najbliższymi. Koszmar rozłąki i odrzucanych próśb o wizy potęgował moją frustrację. Dziś już wiem, kto sieje wiatr i komu on będzie napinał żagle na pełnym oceanie. Ale wtedy, gdy sięgałem po książkę z półki Yasmine *My Lively Lady* Aleca Rose’a, nie miałem pojęcia, komu wieje wiatr. Przez dwa wieczory płynąłem wraz z sir Alekiem Rose’em dookoła świata. Sam nie wiem, kiedy maleńkie żagłówki z kory zaczęły bujać się na Zalewie Wiślanym i Pasłęce. Marzyłem o sekstancie Arnold & Son. Braniewo wciskało się do mojego świata. Krzychało, że to barbarzyństwo, że wstyd tak daleko odjechać, zapomnieć!

W głowie trzydziestoparolatka mogą dryfować różne niedorzeczności. W mojej płynął jacht dalekomorski. Miałem już nawet jego nazwę, *Yasmine*, prócz tego sekstant Symeona, który dotarł do mnie z Polski poprzez różne osoby, manualne zdolności (dorobiłem i przykleiłem diablokowi klejnoty, które przepadły gdzieś w wojażach), trochę oszczędności. No i ważną wiedzę opartą na budowie modeli żagłówek z sosnowej kory”.

Kto sieje wiatr, ten opowiada. Tak mi się wydawało, kiedy przypomniałem sobie, że i ja czytałem książkę „My Lively Lady” kilka dziesięcioleci wstecz. Na rynku w Gorlicach kupiłem po raz pierwszy marynistyczne wspomnienia. Przeczytałem je w Brunarach, beskidzkiej wiosce, gdzie uczyłem klasy początkowe czytać i pisać. Przez chwilę paralelności naszych bytów zdała się zaskakująca. Budujmy dalej arnoldową dramaturgię:

„Najpierw była buda z desek i azbestu. Postawiłem ją w Oakville tuż przy marinie. Dotaszczyłem też grubą blachę ze złomowiska. Zrobiłem kotłuskę dla przyszłego jachtu. Nauczyłem się spawać, co przyptaciłem dwudniową ślepotą po napromieniowaniu oczu. Po

miesiącu stalowy kadłub był już gotowy. Chciałem przez zimę poświęcić się szkutnictwu. Yasmine wciąż pytała, dlaczego znikam na tak długie godziny. Tłumaczyłem, że muszę zostawać w pracy dłużej. W końcu musiałem przyznać się do przestępstwa. Zdziwienie i zauroczenie mojej życiowej mentorki, kiedy zobaczyła cały bałagan w szopie nad jeziorem Ontario, warte jest najlepszych powieści. Dość powiedzieć, że natężenie głosu, jak też język ciała i mimika, zmieniały się od totalnej negacji do maksymalnego entuzjazmu. Zostało jeszcze tylko wyjaśnienie, że chcę sam płynąć przez Atlantyk. Nie pamiętam dokładnie reakcji, wiem tylko, że przez długi czas pomiędzy nami sterczała ściana milczenia.

Znałem już gabaryty mojej przyszłej chałupy oceanicznej, więc mogłem projektować mesę, kajuty, kokpit, nadbudówkę, suwkłapę, sztorckłapę i mnóstwo innych detali. Czekałem tylko na drewno tekowe z Tajlandii. Organizacja stolarni i narzędzi w małej kanciapie zajęła kilka dodatkowych tygodni. Uczyłem się cyzelowania kształtów w lipowym drewnie: wiercenia, gładzenia, sklejanania, malowania i tysiąca innych drobnych umiejętności. Z racji Symeonowej zapobiegliwości i studiowania matematyki moje trójwymiarowe postrzeganie rudymentów przestrzennych działało znakomicie. Po pewnym czasie mikrowymiary potrzebne w obróbce drewna dokonywałem za pomocą oka. Nigdy nie pomyliłem się więcej niż o pół milimetra”.

Wyteżalem słuch, zamykałem oczy, marzyłem, mierzyłem, budowałem łódeczki z kory i szmatek. Tyle mogłem, tyle potrafiłem.

„Gdy tylko fracht drewna tekowego znalazł się w Oakville, prace nad przestrzenią życiową w mojej łódce ruszyły pełną parą. Jednakże zawsze coś nie pasowało, coś się psuło, coś łamało. Dwa lata poświęciłem pracom stolarskim. Każdego dnia spędzałem wiele godzin w mojej małej stocznicy. Przeszedł też czas na pletwę sterową i balastową, kosz rufowy i dziobowy, sztorckling, rumpel i nieskończoność rzeczy maleńkich, ale niezbędnych w jachcie dalekomorskim. Zamówiłem też kambuz, aby móc warzyć strawę na morzu, samoster, by pomagał mi w nawigacji, żagle: grot i fok oraz maszt. Po liny, szekle, forsztąg, cumy pojechałem do sklepu żeglarskiego w Montrealu. Wydałem oszczędności całego życia. A jeszcze tyle było do kupienia. Pomogła mi Yasmine pod jednym warunkiem: mieliśmy się w końcu pobrać. Coś, co wydawało się nam zupełnie niekoniecznym. Przecież sama miłość powinna wystarczyć. Zgodziłem się ochotczo. Moja żona w końcu odwiedziła stocznice Arnold & Symeon. Nie potrafiła ukryć zachwyty, kiedy na burtach zobaczyła złote litery: *Yasmine*. Pozostał tylko maszt, który musiałem jakoś przytransportować do Oakville z samego Toronto. W środku lata wybrałem się około godziny czwartej nad ranem do mistrza takielunku i masztów. Żagle włożyłem na tylne siedzenie mojego pickupa, a maszt ułożyłem na dachu samochodu i przewiązałem solidnym sznurkiem. Torontońska policja zdębiała, kiedy zobaczyła na pustej ulicy Eglinton kosmiczny pojazd. Nie byłem w stanie podziękować im za eskortę na sygnale do mojej szopy. Długo musiałem opowiadać, jak buduję moją łódkę. Widziałem, że zachwyty nie opuszczał twarzy moich wybaców.

Do tego momentu siedziałem w suchym i bezpiecznym doku. Teraz należało płynąć. Jakoś nie bałem się. Miałem już sekstant od dziadka Symeona, kupiłem dwa elektroniczne zegarki na rękę po cztery dolary każdy i atlas astronomiczny”.

Spojrzałem na zegarek. Minęły trzy godziny od położenia stępki w Oakville. Próbowałem sięgnąć do moich doświadczeń i stwierdziłem, że żadne nie nada się nawet na wstęp do przygód, które skwantowały moje spojrzenie na talenty i pracowitość Arnolda. A przecież przed nami jeszcze wysokie fale, sztormy. Miałem przynajmniej taką nadzieję. Śnijmy dalej kolorowy sen:

„Dostałem w pracy dwuletni urlop, częściowo płatny. Yasmine uparta się, aby żeglować ze mną. Nie zgodziłem się. Przecież ja nie potrafiłem nawet dobrze zacumować kiwającej się w marinie łódki. Jak mogłem ryzykować życie mojej ukochanej. Pierwszą próbą był dziewiczy rejs po jeziorze Ontario. Wypłynęliśmy z kilkoma przyjaciółmi i pełną łódką piwa, wina i whisky. Chciałem zobaczyć, jak zachowa się jacht na pełnym akwenie i jak należy koordynować wszystkie ruchy, aby zostawać na powierzchni masztem do góry. Pomagał mi kapitan żeglugi śródlądowej z Polski. Nie za wiele skorzystałem z tej pomocy, gdyż towarzystwo zmieszało zbyt wiele trunków, a i różna czastuszki harmonia na rufie zagłuszała wszystkie nauki. Pod sam wieczór na pokładzie nie było już marynarzy zdolnych do prowadzenia statku. Ściągnęła nas ze środka jeziora policja i zapakowała do aresztu. Następnego dnia musieliśmy zapłacić kaucję za wolność. Nie muszę chyba mówić, jak zareagowała Yasmine. Moja roztropność oblała egzamin, który i tak był bardzo ciężki do zdania. Niemiecka bibliotekarka kategorycznie sprzeciwiała się rejsowi przez Atlantyk”.

Przypomniałem sobie, jak pływałem kajakiem po jeziorze Rożnowskim. Wiosłowaliśmy z przyjaciółmi pagajami i widzieliśmy, jak drugi brzeg skradał się do nas za każdym pociągnięciem ramion i za każdym wirym wodnym kreuującym kilwatter. Podpływaliśmy do Małpiej Wypły (skalistego kopca na środku jeziora porośniętego sosnami), podglądaliśmy dziewczyny opalające się nago na samym szczycie, rozpalaliśmy ognisko, paliłszy papierosy. Milicja na motorówce nie miała ochoty wspinać się po stromiznach wypły. Wiedzieliśmy o tym dobrze, stąd zabawa była zawsze przednia. Kajak to nie jacht pełnomorski. Małpia Wyspa to nie Europa, do której Arnold chciał płynąć. Lepiej zatem wrócić do Prego i słuchać dalej:

„Musiałem uciekać z domu. Nawigowania uczył mnie kapitan z Polski. Na Świętym Wawrzyńcu, rzece łączącej Wielkie Jeziora z Atlantykiem, ćwiczyłem się w ściąganiu położenia gwiazd i słońca. Po kilku dniach potrafiłem określić dokładną lokalizację geograficzną. Nie widziałem jeszcze pełnego oceanu. Mój mentor żeglarski wysiadł w Quebec City. Odtąd płynąłem sam. Nie wiem, kiedy znalazłem się na pełnym morzu. Święty Wawrzyniec stawał się coraz szerszy. Po kilku dniach wiedziałem, że żegluję po oceanie. To jest dziwne i zarazem piękne uczucie, móc widzieć potęgę wodnego żywiołu, kwintesencję egzystencji naszej planety. Czulem się, jakbym dotykał absolutu, jakbym stał się jeszcze mniejszy niż byłem, jakbym był obcym ciałem na mokrej Gargantui. Zacierałem z radości ręce, widząc, że robię postępy w nawigowaniu, w opanowaniu podstawowych czynności. Nie potrafiłem jeść i spać. Emocje i strach na przemian panowały na pokładzie niezmierniejszej Yasmine. Letnia

pogoda upajała mnie. Morze prawie płaskie, dookoła kolisty horyzont. Słońce wysoko. Brak chmur. Samoster pracuje pełną parą. Zaczęłem głębiej oddychać. Zapomniałem o lince bezpieczeństwa przymocowanej do relingu. Kucharzenie też nie było moim ulubionym zajęciem. Ósmego dnia, nad ranem, kiedy jeszcze byłem senny w kajucie, usłyszałem potężny ryk syreny. Przestraszyłem się i wyskoczyłem na pokład. Przede mną w niewielkiej odległości stało wielkie monstrum – norweski drobnicowiec. Podpłynąłem do olbrzyma i połączyłem się drogą radiową z załogą statku. Zapytali mnie o współrzędne: szerokość i długość geograficzną. Usłyszałem, że moje pomiary astronawigacyjne nie są precyzyjne i że zbaczam ku północnemu biegunowi. Spuścili szalupę na wodę, podpłynęli do mnie z dodatkowymi zapasami wody i żywności. Inżynier elektryk sprawdził urządzenia pomiarowe. Stalowy kadłub Yasmine dezorientował kompas. Błędy wskazań nakładały się codziennie, zatem nie było mowy o bezpiecznym żeglowaniu. Tego nie było widać na Świętym Wawrzyńcu”.

Strach i odwaga, radość i smutek, chaos i porządek, życie i śmierć. Tak targały mną dialektyczne emocje. Patrzyłem na mojego przyjaciela i próbowałem zobaczyć choć przez chwilę, jak zmaga się z każdą minutą na swoim jachcie. Jak nieskończenie głębokie wody nie wysysają go na swoje dno. Jak kruchość ludzkiego istnienia staje w zawody z potęgą universum. Chciałem też, aby na swoich żaglach dopłynął do bezpiecznego portu:

„Na środku oceanu dni są podobne do siebie. Tylko chmury i wysokość fal powodują, że monotonia żeglowania nie uspi marynarza na posterunku. Nie miałem też do kogo odezwać się. Radio przestało działać i większość dni spędzałem na próbie naprawienia tego najważniejszego instrumentu. Zalało mi jeden z zegarków. Dobrze, że XVIII-wieczne чудо Arnold & Son wciąż wzorowo chodziło w tę samą stronę. Będąc gdzieś na środku oceanu, podczas nieco pochmurnego dnia, wpiąłem karabińczyk linki bezpieczeństwa do relingu i paska na biodrach. Nie trwało nawet pół godziny, kiedy niespodziewanie wysoka fala zmiotła mnie z jachtu. Znalazłem się w wodzie i widziałem odpływającą bardzo szybko Yasmine. Dopiero będąc za burtą mogłem zobaczyć, jak szybko mknie mój morski dom. Strach wkraść się w moje trzewia. Szybko dociągnąłem się do łódki i wdrapałem na pokład. Od tego momentu chodziłem z zaczepioną linką, co nie było ani przyjemne, ani też zbyt wygodne. Dalsze żeglowanie było nudne i przewidywalne. Spędzałem czas na lokalizacji współrzędnych mojego miejsca na Atlantyku, puszczałem taśmy magnetofonowe z muzyką rozrywkową i klasyczną. Radio wciąż nie działało. Codziennie uzupełniałem dziennik pokładowy, jak też pisałem listy do Yasmine. Zaklejałem je w kopertach i wyobrażałem ją sobie czytającą moje epistolarne zwierzenia. Było w nich dużo romantyzmu, tęsknoty i erotyzmu. Kanaf La Manche pojawił się niespodziewanie szybko. Dwa miesiące od chwili opuszczenia Świętego Wawrzyńca kotłował mnie już Bałtyk. Teraz pozostał tylko Gdańsk i cień niepewności, czy polskie władze nie zechcą wsadzić mnie do ciupy. Przecież wciąż byłem banitą, niebezpiecznym szpiegiem. Nie wiedziałem jednakże, że klimat polityczny w kraju mojego urodzenia zmienił się na dobre. Wpłynąłem pod flagą Kanady do portu. Nikt nie próbował mnie wganiać, ani też aresztować. Zaskoczony byłem zupełnie. Po dwudziestu prawie latach znów

jechałem pociągiem do Braniewa. Pierwsze kroki skierowałem na Morską, gdzie pochowany był dziadek Symeon – mój najważniejszy przewodnik po świecie i życiu. Po drodze kupiłem kilka mieczyków. Włożyłem je do stoika z wodą i długo przyglądałem się małemu zdjęciu na granitowym pomniku. Rodzice na Zwycięzców zaskoczeni byli kompletnie, kiedy zapukałem do drzwi z wykaligrafowanymi literkami K+M+B 1992. Nikt nie chciał uwierzyć, że przyplłynąłem jachtem z Toronto. Ja też bym w to nie uwierzył, gdybym tego nie dokonał. Po kilku dniach do Polski przyleciała moja żona. Po raz pierwszy rodzice mogli zobaczyć swoją synową. Do Kanady wracaliśmy jachtem. Teraz nie obawiałem się wziąć Yasmine na pokład *Yasmine*. To była w końcu jej łódka! Czytane listy, szczególnie te miłosne, sprawiły niemieckiej bibliotekarce ogromnie dużo radości, kiedy ocean był spokojny. Ona też przyniosła listy, które pisała podczas naszej rozłąki. Wiele z nich miało eliptyczne lub liniowe konotacje z moją oceaniczną korespondencją. Nasza wędrówka dobiegła końca. Zaczynaliśmy na materacu, skończyliśmy też na materacu – w koi na rufie”.

Nawet w najbardziej kolorowych snach nie spodziewałem się, że kiedyś w kilka godzin przepłynę Atlantykę semantycznym jachtem. Arnold zaprosił mnie na dalsze szaleństwo za dwa dni. Byłem ciekaw, dlaczego za dwa dni, a nie teraz, zaraz. Tyle że cierpliwość jest cnotą. Byłem ciekaw następnej loksodromy dla *Yasmine*.

Ochrowy bungalow pojawił się w szybie mojego samochodu, gdy stanąłem na bocznej ulicy, pod wskazanym adresem w Toronto. Na trawniku przed domem oczekiwał na mnie Arnold. Przywitaliśmy się ponownie już bez zgadywania, czy aby na pewno ja to jestem ja, a on to jest on. Zaproszono mnie do wnętrza przytulnego domu. W hallu stała wysoka, szczupła o nordyckich rysach kobieta: Yasmine. Chciałem tylko uścisnąć jej dłoń na powitanie, ale otwarte ramiona i stwierdzenie, że „zna” mnie już z Braniewa, pozwoliły na szybkie przełamanie wymaganych konwenansów. Rozsiadliśmy się wygodnie w fotelach przy ozdobnym kominku, na którym stał Mefisto z bronią wciąż gotową do ataku. Nie dało się ukryć spojrzenia w stronę tak słynnego artefaktu. Yasmine zaczęła konwersację po polsku, czym zaskoczyła mnie zupełnie. Tylko gdzieniegdzie jej gramatyka ewoluowała ku anglosaskim układom zdań. Albo też rzeczownik użyty został w nieodpowiednim przypadku. Zmienialiśmy języki co i raz, w zależności od skomplikowania sytuacyjnego. Państwo Brama byli wciąż intrygującym siebie i otoczenie udanym małżeństwem. Tyle że bez dzieci. Nie śmiałem zapytać o cokolwiek, ale gospodyni w błyskotliwy sposób dała do zrozumienia, że kłątwa Belzebuba zaryglowała bramę na zawsze. Polska gra słów z nazwiskiem pięknej bibliotekarki powodowała, że nasza przyjaźń materializowała się w błyskawicznym tempie. Gospodyni zaprosiła nas do swojej biblioteki, która była jej dumą i oazą kontemplacji. Trzy rzędy regałów pod sam sufit, biurko, wiktoriański fotel, lampka nocna z zielonym kloszem pstrzącym miękkie światło, sterta gazet, magazynów literackich i na biurku jeden stary egzemplarz „New Yorkera” z 1998 roku.

Wieczór niespodzianek miał dopiero zacząć się. Yasmine podała mi leżącego na biurku „New Yorkera”, z prośbą, abym przeczytał wspomnienia jednego z niewielu odważnych w dawnym DDR. Zaczyna się to opowiadanie od katowni Stasi i pięcioletniego wyroku dla oficera wschodnioniemieckiego, który w przynajmniej dwóch przypadkach umożliwił ucieczkę na Zachód młodym ludziom. Jednymi z tych szczęśliwców byli plażowicze na materacach udających zniesionych przez wodny prąd na stronę wschodnią lekkoduchów. Bohaterskiego oficera uwiódł Rokita z atrybutem męskim godnym pozazdrosczenia. Podwładni na motorówce chcieli strzelać do szpiegów. Spodziewali się też rozkazu abordażu i aresztowania dwójki materacowiczów. Ich też rozbawił Lucyfer. Lektura „New Yorkera” ocierała się o Mur Berliński, eksodus Wschodu na Zachód, prywatne perypetie autora wspomnień i zakończenie, które ścisnęło za serce: wschodnioniemiecki oficer stwierdzał, że warto było być odważnym, nawet za cenę pięciu lat w karcerze. Spojrzałem na nazwisko autora wspomnień: Peter Brama. Zaskoczony skierowałem wzrok na Yasmine. Pokiwała głową i powiedziała, że to był właśnie ON, duchowy brat – furtian.

Długo szukali swojego Bramy, który otworzył im najpiękniejszą bramę. Bez skutku.
Mississauga, 2018 rok

EWELINA ZDANCEWICZ-PĘKALA

KRÓTKA ZNAJOMOŚĆ

Stoimy razem w klubowej toalecie
ubrani jakoś tak zupełnie
rozebrani
ze złudzeń i wstydu
mówisz mi, że nie lubisz tu przychodzić
tylko ta cholerna prohibicja
daje ci się we znaki
no i jeszcze ludzie
oni
to chyba najbardziej

ostatnio była to Monika
przed nią Anka i Marysia
wszystkie takie same
więc starać się
to już nie warto

na chwilę zawieszasz wzrok na ścianach
na których Maja kocha Kubę
Adaś jest pedałem
a Martynka lubi robić loda (503 XXX)
jesteś tak bardzo rozczarowany
że jest mi przykro
podwójnie

a ty spokojnie gasisz papierosa
brak czułości to też forma przemocy
rzucasz filozoficznie
i wychodzisz
zanim czujnik zacznie wycie

a przecież wiesz, że jest zepsuty
jak ja
Monika Anka czy reszta świata
więc wyję z niego
w środku
po cichu

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK

Inne Daty

NIEDZIELA, 30 sierpnia 2014 r.

Tak szybko w tym roku lato przestało być latem. Minęło jak dziecięca gorączka. Nagła i wysoka. Jednodniowa. Mimo to dzisiaj wyszło słońce. Wcale nie oszukane. Ciepłe. Siadłam na balkonie wśród porozkładanych szpargałów i poczułam, jak krople potu lecą mi po brzuchu. Jak kapią na wszystkie te rzeczy wygrzebane z przeszłości. Sterty listów. Stosy pamiętników. Tysiące wierszy i zdjęcia. Niektóre jeszcze czarno-białe. Wcale nie wywołane. Niektóre od razu do zniszczenia. Już zniszczone, porwane, żeby nikt nie zobaczył twarzy. Uśmiechów powyginanych od wilgoci. Pożółkłych od światła, od nieświatła.

— Boże, ile tego jest?

Cała moja historia. W dwóch starych walizach z kartonu. Ledwo wyciągnęłam je z pomiędzy rowerów a czegoś. Próbuję sobie przypomnieć, co tam stoi. Pudło! W tym pudle czerwone, plastikowe wiadro. W wiadrze jakieś śruby czy cokolwiek z czarnego metalu. W każdym domu są takie miejsca, gdzie się kładzie rzeczy na chwilę, bo nie bardzo wiadomo co z nimi zrobić. Jedną z tych rzeczy, z którymi nie bardzo było wiadomo co zrobić, były te walizki. Dalej nie wiem, ale teraz przecisnęłam się koło roweru i zaczęłam ciągnąć tę, która stała bliżej.

— Ile to cholerstwo waży?

Tylko tyle, ile czterdzieści lat czyjegoś życia. Mojego. Plus trzy i pół kilograma na walizkę. No, więc wyciągnęłam ją z trudem i postawiłam na wiadrze, potem wreszcie udało mi się wypchnąć ją za drzwi. Ta druga ma jakoś nierówno rozmieszczone ciężary. Jeszcze trudniej wydostać ją z tych czeluści, w których miała już zmuszeć na dobre. Prawie się udało. Jedna jej ściana jest cała zielona. Pleśń. Cuchnąca grzybem i wilgocią.

Kiedy, sapiąc i przystając co chwilę, ciągnęłam je po podwórku, wyszło słońce, a ja postanowiłam usiąść na balkonie. Jeszcze tylko kilka schodków i już. Jeszcze tylko dwa. Musiałam przytrzymać się ręką poręczy. Nie odgarnęłam z pokrywek kurzu ani tego zielonego grzyba, tylko otworzyłam najpierw jedną, potem drugą i patrzyłam w ich otwarte wnętrza z takim uczuciem, jakbym zaglądała do środka samej siebie. Do grobowca sentymentalnych resztek własnej egzystencji.

Jak to posprzątać? Kiedy strach przed dotknięciem cokolwiek paraliżuje ruchy. Może powinienam dać temu odejść w takim uśpieniu jak teraz, wieka przeżartego zielonym grzybem. Co będzie jeśli jutro to ożywie? Jaka wylezie z tego oczywistość?

Zatrzasnęłam wieko. Zielony kurz wzbił się do góry i zawirował w ciepłym powietrzu. Osiadł. Wciągnęłam walizki, jedną po drugiej, przez próg. Niech jeszcze chwilę postoją. Ja zrobię w tym czasie naleśniki.

PONIEDZIAŁEK, 1 września 2014 r.

Jutro, czyli dzisiaj, nic z tego nie wylazło. Pierwszy września to taki dzień, kiedy człowiek nie ma czasu na rozpakowywanie starych walizek. Na rozgrzebywanie starych uczuć. Choć może właśnie ma? Rano trzeba wstać, wyprasować dziecięce koszule. Zapakować w nie dzieci i wyprawić do szkół. Każdy ruch jest przeszyty sentymentem. Cała teraźniejszość utyka w czasie przeszłym. Koszulka mojej córki ma wstawki w czarne kropki. Sukienka ma kokardę. Ja też miałam takie ubranie. Odświętne. Pamiętam, jak pierwszy raz przechodziłam pomiędzy dwiema lipami. Furtka skrzyiała, wypuszczając mnie niechętnie na chodnik przed domem. Szłam do zakrętu ulicy, który wydawał mi się wtedy końcem świata. Jak ubrana w długą spódnicę z granatowego jedwabiu szłam pisać maturę. Jak wracałam. W krótkiej białej sukience, prosto po zdanych egzaminach semestralnych. Jak w końcu przestałam tamtędy chodzić. Trzeba o tym wszystkim pomyśleć, kiedy człowiek prasuje białe koszule.

Wyprasowałam. Obeszłam potem te walizki kilka razy dookoła. Przetawiałam, żeby równo stały. Nie byłam w stanie do nich zajrzeć, nie mogłam, nie umiałam. Dotknę, popatrzę. Odejdę. Zostawię. Przesunę nogą przy sprzątanii, żeby było jak pozamiatać.

WTOREK, 2 września 2014 r.

Ten dzień prowadził mnie swoją krętą ścieżką w różne strony. Praca. O pracy nie piszę, nie mówię, szkoda moich słów, papieru i czasu. Szkoda, tylko tyle, bo to jednak osiem długich godzin życia. Mojego. Dzień po dniu. Szkoda. Jest przecież tyle innych rzeczy. W papierniczym nożyczki dla leworęcznych. W drogerii czerwona pasta do zębów dla dzieci o smaku owocowym. Podobno ma wzmacniać szkliwo i zabijać bakterie. Potem ortodonta. Niezbyt sympatyczna starsza pani o twarzy pomarszczonej jak skórka zepsutego jabłka, ale i tak ciągle jeszcze ładna, w jakiś dziwny sposób. Jak to jest, że niektórzy brzydą na starość, a inni pięknieją. Rysy nabierają szlachetności, szpiczaste nosy stają się mniej szpiczaste, ostre podbródki mniej ostre. Nędzna rekompensata za nieurodziwą młodość. Nie jest, jak widać, w stanie wyrównać rachunków, ani sprawić, że człowiek stanie się nagle bardziej życzliwy, mniej szorpaty w obejściu.

Jeszcze przychodnia. Szczepienie. Przynajmniej będziemy mieli to już za sobą.

— Boisz się?

Zapytałam syna, sadzając go sobie na kolanach.

— Boję, ale nie będę płakał.

Nie płakał. Wysłiśmy. Lekko kropiło po drodze do domu. Lekko śniło. Późno. Osiemnasta, a my jeszcze bez obiadu. Dobrze, że wczoraj ugotowałam jarzynową.

ŚRODA, 3 września 2014 r.

Dzisiaj, kiedy stanęłam w progu pokoju, zdałam sobie sprawę, że już nie dostrzegam. Omiotłam wzrokiem wszystkie kąty. Nic. Nie poczułam tego palącego niepokoju, konieczności, przymusu. Chęci ani niechęci. Wystarczyły trzy dni. Walizki wtopiły się w tło, zwały z firanką, upodobniły do brudnej ściany i do drewnianej podłogi. Zaczęłam nawet podejrzewać, że w ogóle ich tam nie ma. Musiałam podejść i dotknąć kartonowego wieka. Metalowy zamek był tak samo zardzewiały jak zawsze. Smród z bliska śmierdział i jeszcze drażnił. Przeszkadzał, ale już nie tak. Wiedziałam, że to jest właśnie ten moment. Teraz. Jeśli natychmiast nie zrobię czegoś, to za pięć kolejnych dni minę to miejsce, potykając się tylko o występ w podłodze, albo i nie.

Zamknęłam drzwi do pokoju. Jedne i drugie. Pewna ograniczoność przestrzeni jest konieczna do pracy. Inaczej myśli uciekają. Za daleko. Za łatwo. Wyłożyłam wszystko po kolei. Delikatnie. Ta delikatność wykładania mnie samą wzruszała. Brudną ręką otarłam spływającą łzę. Materia przeszłości przykleiła mi się do rąk. Mogłaby w zetknięciu ze światłem i powietrzem rozsypać się w proch. Nie jest jeszcze aż taka stara. Biodegradowalna siatka z marketu mur-szeje po pięciu latach. Jak to jest ze współczesnym papierem daleko przekraczającym odpowiednie normy cienkości? Współczesny różni się od tego sprzed dwudziestu lat. Wszystko się różni. Więc zeszyty są. Trwają swoim siermiężnym trwaniem byle jakich okładek. Pozbawione kolorowych nadruków z amerykańskich bajek. Szaleństwa wzorów. Całego tego kalejdoskopu barw. Trwają. Zwykły karton z grubo mielonej makulatury. Załapałam się jeszcze na jako taką zwykłość. Załapałam się jeszcze na samą siebie. Co by było, gdybym urodziła się potem, znaczy teraz? Niewyobrażalne, a jednak teraz też rodzą się ludzie. Zbierają swoją historię do jakiegoś pudła z plastiku. Mają katalogi zdjęć na dyskach wewnętrznych i zewnętrznych. W nieprywatnej pamięci Internetu. Co to będzie, jak padnie ta sieć?

Na jedną stronę układałam zdjęcia w albumach i bez albumów. Na drugą pamiętniki. Na trzecią wiersze. Ile jest tych stron do układania? Może te trzy na razie wystarczą. Zrobiło się późno. Trzeba skończyć tę zabawę z przeszłością. Terazniejszość, jak zawsze, dopomina się o swoje prawa. Wszystkie trzy strony załadowałam do czarnych worków na śmieci. Trochę trumiennie. Walizki włożyłam jedną w drugą. Zamknęłam wieko i przekreśliłam zardzewiały zamek. Też trochę jak trumna. Wystawiłam na korytarz.

WTOREK, 16 września 2014 r.

Jakoś tak wyszło, że po środzie nastąpił wtorek. Całkowicie nieprawdopodobne, a jednak, jak najbardziej prawdziwe. Nie wszystko musi być po kolei. O niektórych dniach człowiek wcale nie chce pamiętać. Nie ma o czym. Nie ma po co. Umykają po prostu smutnym szeregiem szarych godzin, z jednej na drugą. Chociaż może niby nie takim smutnym. Nie takim szarym. Nie tak z jednej, nie tak na drugą. Nawet jakby się chciało, skupiło całego siebie na zapamiętywaniu. To pamięć i tak zapomni. Przeoczy. Wtedy nagle po środzie dzieje się wtorek. Tak jak dzisiaj.

Miał być zwykły. Codzienny, jak kupiona w kiosku gazeta o niczym. Czarno-biały, z lekko wytłuszczonym nagłówkiem. Wtorek. Rano miałam iść do pracy. Poszłam. Droga do pracy

jest przyjemnością. Oddechem przed. Miniaturą pojawiającego się dnia. Przypuszczeniem. Szłam, przypuszczając. Układałam w głowie kolejne godziny. Następstwo czasu opanowałam do perfekcji. Ósma. Dziewiąta. Dziesiąta. Już wiedziałam, co będzie. O której wstawię wodę na herbatę. Co zrobię na obiad. Mrożone warzywa duszą się tylko piętnaście minut. O jedenastej zadzwonił telefon.

— Gość do Pani. Czy może Pani wyjść na hol?

Wyszłam, rozglądając się uważnie. Nie miałam pojęcia na kogo czekam, czy też kto czeka na mnie. Kobieta. Co za paskudne przeoczenie. Taka wizyta w środku dnia. Nieprzewidziana. Rozmawialiśmy krótko. To nie było nic ważnego. Jakiś podpis. Jakaś data. Wtorek. 16 września. Patrzyłam ze zdziwieniem na szesnastkę i na stojącą przede mną postać. Świat daje nam sygnały, a my nie umiemy ich odczytać. Grozi nam palcem, a my ciągle swoje. Macha przed nosem oczywistością. Nadaremno. Człowiek raz włoczony na jakieś tory zapomina, że są w życiu inne jeszcze drogi. Wróciłam do pokoju i usiadłam na krześle. Wchodząc po schodach, czułam się nieswojo, ale jeszcze nie wiedziałam, co to takiego. Jeszcze te nieswojo nie przybrało realnego kształtu. Kształtu metalowej obręczy włoczonej na głowę.

— Nie ból, a ucisk. Z góry, z dołu, w skroniach. Cholera, co to jest?

Narastające tętnienie było niepokojące. Im bardziej tętniło, tym bardziej się denerwowałam. Im bardziej się denerwowałam, tym bardziej tętniło. Niepokój taki, że nie sposób usiedzieć na miejscu. Najlepiej byłoby się położyć.

— Gdzie ja się położę? Wezmę wolne godziny i pójde do domu.

Zadzwoniłam do sekretariatu.

— Poproszę mnie wypisać. Tak. Prywatnie. Nie, dzisiaj nie wrócę.

Wyszłam z torbą przewieszoną na ukos przez ramię, z dudnieniem w potylicy i ciemieniu. Też na ukos. Zaczęłam iść w stronę „do domu”. Po przejściu kilkunastu kroków, zawróciłam.

— Lepiej do lekarza. Niech mnie ktoś zbada. Niech ktoś mi powie, czemu to tak dudni.

Szłam tak niepewnie, jakbym stąpała po szkle. Jakbym nie znała innej drogi do stąpania. Jakbym zapomniała, że można normalnie stawiać stopy. Wszystko zrobiło się szklane. Co kilka kroków musiałam przecierać oczy. Wpatrywać się w przejrzystość. Domyślać kształtów. Zgadywać kierunki. Nagle dźwięk telefonu. Torba przewieszona przez ramię zaczęła drgać. Wiedziałam, że gdzieś jest zamek, który, przy odrobinie szczęścia, uda mi się otworzyć.

— Słucham? — Powiedziałam do przezroczystej słuchawki.

Usłyszałam głos mojego męża. Rzeczywisty. Utkany z materii. Prawie mogłam zobaczyć poszczególne zgłoski. Prawie mogłam się nimi owinać.

— Stój tam, gdzie stoisz. — Powiedział. — Zaraz po ciebie przyjadę.

Stałam tam, gdzie stałam. Ani drgnęłam. Przyjechał. U lekarza nie było kolejki. Ciśnienie podwyższone. Może się pani denerwuje? Za chwilę zmierzmy jeszcze raz. Zmierzyli. Proszę jechać do domu i się położyć. Proszę się przespać. Odpocząć. Za jakiś czas proszę się zgłosić, może neurolog powinien panią obejrzeć? Dam skierowanie. Jechaliśmy. Po drodze cały czas myślałam o mrożonych warzywach. Miałam je udusić na obiad zaraz po przyjściu do domu. Tak skrupulatnie ułożyłam sobie plan dzisiejszego dnia.



30 SALON ELBLĄSKI

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA:

KARINA DZIEWECZYŃSKA*

30 Salon Elbląski ze wstępu do katalogu

Salon Elbląski zmieniał się jako cykliczna propozycja artystyczna lokalnego środowiska plastycznego. Prezentacje prac artystów związanych z Elblągiem organizowane były przez szereg instytucji i odbywały się w różnych miejscach, m.in. w kruzganku Galerii EL, w sali konferencyjnej Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, w foyer elbląskiego teatru, w Elbląskim Ośrodku Kultury czy w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu, by na stałe osiąść w Galerii EL.

Przekształcały się również formuła, wybór uczestników i ich prac na Salon. Dobór odbywał się m.in. poprzez imienne zaproszenia, konkursy czy ocenę powołanego Jury (komisji konkursowej), którego skład w ostatnich kilku edycjach stanowili najczęściej pracownicy Galerii EL wraz z zaproszonym jurorem spoza Elbląga.

Oczywiście z upływem czasu zmieniała i zmienia się nadal reprezentacja uczestników poszczególnych Salonów, choć występują nazwiska znane naszej publiczności od lat – to pokolenie artystów, które już w latach 50. i 60. pokazywało swe prace na pierwszych przeglądach elbląskiej plastyki. Pojawiają się nowe osoby – debiutanci, którzy, biorąc udział w kolejnych Salonach, wpisują się w reprezentację artystów dojrzałych i tym samym ustępują pola następnym debiutantom.

Ponadto warto przypomnieć, że niektórym Salonom towarzyszyły pomniejsze, wyjątkowe ekspozycje związane np. z jubileuszem. W 2011 roku odbyły się wystawy: Ryszarda Tomczyka (retrospektywa połączona z uroczystym nadaniem artyście tytułu Honorowego Obywatela Elbląga) oraz Marka Wawryna (z okazji 40-lecia twórczości). Niekiedy towarzyszące Salonom wystawy miały zgoła inny charakter – wspomnieniom i ku pamięci tych, których pożegnaliśmy. Odeszli od nas: w 1999 roku – Zdzisław Jakubowski, Tadeusz Jarmużewski, Zbigniew Książkiewicz, Andrzej Szadkowski, 2007 – Roman Fus, 2011 – Mirosław Czarny, 2015 – Jerzy Kosacz, Jerzy Kremp. W tym roku świętowaliśmy jubileusz Haliny Różewicz-Książkiewicz, stąd też w Galerii Laboratorium prezentowana była wystawa jej prac „Ślad wędrówek”.

Salon Elbląski w obecnej formule jest miejscem integracji lokalnego środowiska plastycznego, spotkania starszego pokolenia z młodszym oraz wzajemnej wymiany doświadczeń, pokazania własnej twórczości w kontekście dokonań kolegów i koleżanek. W jednym czasie i w jednym miejscu prezentujemy prace artystów związanych z Elblągiem rejestrując całe bogactwo i różnorodność postaw twórczych z ostatnich dwóch lat.

*Karina Dzieweczyńska – kurator i historyk sztuki, pracownik Galerii EL.

Wśród wielu rzeczy mogących dodać otuchy szaremu człowiekowi dźwigającemu na co dzień swój szary, nierzadko nudny los, jest i taka, o której mógłby on pomyśleć, zwłaszcza w drodze do pracy, gdy w pośpiechu mija ludzi zamierzających, inaczej niż on, nie zacząć, ale skończyć, i na pewno nie pracę, ale imprezę, która jednakowoż umęczyła ich daleko bardziej, niż jego zmęczy dzisiejsze osiem godzin za biurkiem. Ta rzecz niechybnie doda mu otuchy, no dobrze, niewykluczone, że zabarwionej lekką nutą goryczy nad obróconymi w perzynę planami i marzeniami, już niebyłymi, choć wcześniej nieledwie skryształizowanymi. Do brzegu. A zatem, ta rzecz to myśl: Przynajmniej nie jestem gwiazdą rocka sprzedającą miliony płyt, mającą rzesze fanów na całym świecie, znajdującą się w szponach nałogu alkoholowo-narkotykowego, pogrążoną w depresji, zagubioną w podstępny i wrogi świat show biznesu, ergo nie umrę w wieku dwudziestu siedmiu lat.

I choć nasz szary człowiek, którego zaprzęgamy w ten proces myślowy, nie musiałby bać się śmierci w wieku lat dwudziestu siedmiu, nie tylko z powodu wyniszczającego trybu życia gwiazdy rocka, ale i z każdego innego również, z tej prostej przyczyny, że jest już po trzydziestce, a może i czterdziestce, to myśl, że klątwa Klubu 27 nigdy go nie dopadnie, miłym ciepłem rozlewa mu się po sercu, kiedy na ostatniej prostej wbiega do budynku, by za chwilę umościć się za swoim biurkiem i oddać rozpoczętym wczoraj czynnościom służbowym, które skończy dzisiaj, a może i nie. I fakt, iż jutro rano szary człowiek rozpocznie na nowo cały ceremoniał tych samych zadań, pozornie banalnych, a nawet nudnych, w gruncie rzeczy mających jednak pewien stopień skomplikowania, wymagających, a jakże, wiedzy, doświadczenia oraz skupienia, na podobieństwo Syzyfa, wnoszącego z mozołem swój kamień, który, w chwili dotarcia na szczyt, już leci w dół, by znów zostać wciągniętym, i tak w nieskończoność, a więc fakt ten w obliczu innego faktu, że z różnych złych rzeczy na naszego bohatera z pewnością nie spadnie grom w postaci śmierci naglej jako konsekwencji niestabilnego, szalonego i nie higienicznego trybu życia idola nieprzebranych tłumów na całym świecie, staje się triumfem zwycięzcy nad przegranym.

Inna rzecz, że nie tylko on nie musi się bać podobnego końca żywota. Klub 27, mianem którego w kulturze masowej określa się przedwcześnie zmarłych muzyków, został oficjalnie zamknięty przez naukowców z „British Medical Journal” już w 2011 roku wraz ze śmiercią Amy Winehouse, która stała się ostatnią jego członkinią. Śmierć w dwudziestym siódmym roku życia sprawiła, że Brytyjka znalazła się w gronie wielkich postaci muzyki rockowej, które geniusz muzyczny łączyły

PAULINA WAKAR

Sex, drugs and rock'n'roll – niepotrzebne skreślić

z ikoniczną rolą w zbiorowej wyobraźni, takich jak: Jimi Hendrix, Jim Morrison, Janice Joplin czy Kurt Cobain. Umierając przed trzydziestką, nieuchronnie dali oni pożywkę ludzkiej fantazji, lubiącej odkrywać analogie w otaczającym świecie i nadawać im znaczenia zaprzeczające przypadkowości i chaosowi rządzącymi życiem. 27 lat jako wiek śmierci młodych artystów, królów życia, herosów, którzy brutalnie rozbili się o iluzję nieśmiertelności, nurzając się gorliwie i zachłannie oraz bez należytej pokory w najgorszych nałogach, został zatem liczbą przekłęta, dodając biografii każdego z tych idoli walor fatalizmu w postaci wymiernej ceny wielkiego talentu.

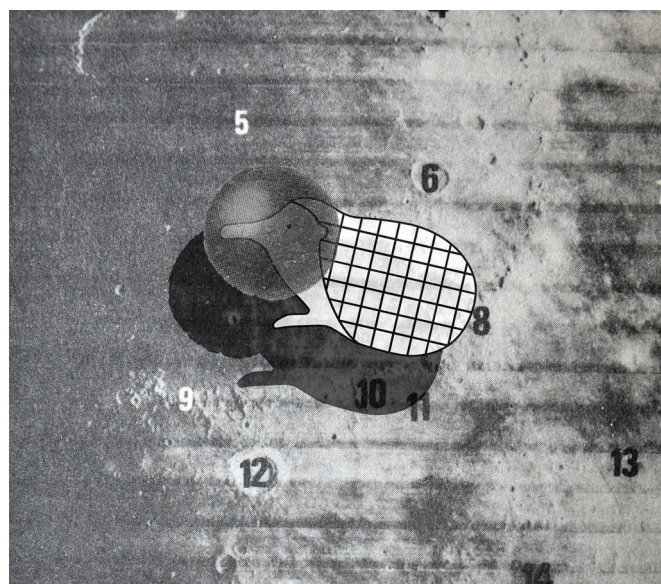
Ale ta sama liczba zamiast być dowodem na kosmiczny porządek, wdzięcznym tematem dla dziennikarzy czy badaczy w pseudonaukowych teoriach jest potwierdzeniem tego, czemu miała zaprzeczać. Przypomnieniem, że żaden talent, żadna wściekła młodość nie uchyla żelaznej zasady przyczyny i skutku. Zatem niezależnie od tego, jak liczny tłum leży u twych stóp i ile gitar roztrzaskałeś na scenie, możesz się nagle nie obudzić w wieku dwudziestu siedmiu lat i przerwać wszystko, co miało trwać.

Dlaczego Amy Winehouse ma być ostatnią w Klubie 27? Bo żyła, nie bacząc na potęgę Internetu, przed erą, w której media społecznościowe są często najważniejszą składową wizerunku gwiazdy, która choćby się waliło i paliło, mimo iż właśnie dowiedziała się, że mąż zdradza ją z opiekunką do dzieci, wrzuci na Instagram zdjęcia z gatunku *everything is perfect*, chowając za plecami niewiernego ukochanego nadwyrażoną na jego twarzy (oczywiście już profesjonalnie upudrowanej) rękę. A że *business is business* nasza idolka nie omieszka dokonać na tych samych fotografiach co najmniej jednego lokowania produktu.

Winehouse królowała w serwisach plotkarskich, ale nie dlatego, że wychodząc do sklepu dopieszczała, stylizację w najdrobniejszych szczegółach. Ludzie chcieli widzieć autentyczną gwiazdę rocka, która żyje szybko i niebezpiecznie: nie kryjącą się za wizerunkiem, spontaniczną, będącą ucieleśnieniem zakochanej i uzależnionej dziewczyny z jej piosenek. Czy dzisiejsi idole mogą dołączyć do Klubu 27? Oczywiście, choć ryzyko jest mniejsze niż kiedyś. Niegdyś prorocy byłiby dziś frajerami, nie potrafiącymi znaleźć złotego środka między przyjemnością a karierą, którzy nie mieli obok siebie nikogo, kto w odpowiednim momencie powiedziałby im: – Koniec balu, panno Lulu. Pić i ćpać trzeba umieć. Ze słabościami nie wolno się obnażać, chyba że w sposób kontrolowany, w ramach strategii marketingowej. Nałóg – tak, ale musi być stylowy, bo jeśli „pałę mentole fajki”, to dlatego że

„zieleń paczki tej podkreśla moje zielone najki”¹. Narkotyki? Może i tak, ale nie starczy hajsu, bo „jakieś pół wypłaty poszło mi na guacamole”². Ta licentia poetica, choć niepozabawiona uroku, nijak się ma do antymaterialistycznego ducha kontrkultury, który wspólny jest wszystkim z Klubu 27. Zarówno Morrison, Cobain, jak i Winehouse mogli w ostatniej chwili odwołać największe koncerty, kiedy czuli, że rzeczywistość ich przerasta. Większość współczesnych gwiazd prędzej by umarła, niż zaprzepaściła taką szansę. Dziś widz, płacąc za bilet, raczej nie musi się obawiać, że jego idol wyjdzie na scenę chwiejnym krokiem i bełkotliwym głosem będzie próbował śpiewać. Obecnie mając bilet na koncert gwiazdy dającej wielotysięczne widowiska, można się spodziewać wysokobudżetowego, dopracowanego w najmniejszym szczególe show z pogranicza świata muzyki, teatru i tańca, przygotowywanego od miesięcy przez sztab profesjonalistów.

Dziś młodych bogów nie zostawia się samym sobie, ale stawia w centrum modelu biznesowego, który przewiduje dla nich rolę niezawodnego, luksusowego produktu. Brak talentu można przeboleć, a tak w sekrecie, to talent jest przereklamowany. Mało to było utalentowanych, którzy w przeświadczeniu własnej boskości kończyli młodo i żałośnie? Niezdolny przynajmniej ma pokorę i chęć ciężkiej pracy nad wizerunkiem. Jego liczba to z pewnością nie 27, ale stan followersów na Instagramie – myśli szary człowiek, wpisując złe hasło do służbowego komputera.



Graf. Justyna Ostromecka

MAŁGORZATA WIŚNIEWSKA-JURKOWSKA, opracowanie IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Rowery ślubne

Wzięłam udział w szkoleniu, w czasie którego mogliśmy przećwiczyć wizualizacje. Długo nikt się nie zgłaszał do zadania, stwierdziłam – idę. Poznałam w ten sposób metodę wizualizacji rzeczy, sytuacji, historii, które chcemy, żeby się ziściły. Chodziło o to, żeby w wyobraźni zobaczyć to, co się chce mieć czy przeżyć. Zależało mi w tym momencie na tym, żeby zobaczyć w myślach wspólne mieszkanie z moim jeszcze wtedy chłopakiem Michałem. W czasie wizualizacji w pewnym momencie poczułam i zobaczyłam piękne słońce, stolik, dwie kawy, i nas siedzących w tym nowym mieszkaniu z poczuciem radości. Nie chcę wymyślać, czy byliśmy w domu czy na zewnątrz, zostało poczucie, że coś może z tego wyjść. W tym czasie mieszkaliśmy już razem w moim niedużym mieszkaniu na ul. Kołobrzesckiej. Dobrze nam się tam żyło, ale potrzebowaliśmy więcej przestrzeni. Nie wyglądało to najlepiej, bo a to problem z kasą, a to z czasem, ciągle jakieś klody pod nogi. Wróciłam do domu, opowiedziałam o metodzie wizualizacji Michałowi i zaproponowałam, żeby też spróbował. Postanowiliśmy narysować nasze wspólne mieszkanie, to, jak byśmy chcieli, żeby wyglądało. Ustaliliśmy, że każdy będzie rysował oddzielnie, żeby jedno na drugie nie miało wpływu. Narysowaliśmy i okazało się, że właściwie wyszło nam to samo. Jedyną rzeczą, która się różniła, był pokój do pracy. Michał narysował dwa pokoje, ja jeden, ale biurka były w tych samych miejscach. Pozostały rozkład pomieszczeń wyglądał tak samo. Nie jest to taki sam układ jak w naszym nowym mieszkaniu, ale to było niesamowite, że wyobraziliśmy sobie to samo. To było wiosną 2018 roku. Latem wzięliśmy ślub.

Od nowego roku zaczęliśmy szukać mieszkania. Oboje uważaliśmy, że najlepszym miejscem do życia jest ul. Leśna. Jest blisko do lasu, po którym lubimy jeździć rowerami i biegać oraz jezioro. Od zawsze nam się tu podobało. Policzyliśmy pieniądze i dalej nie wierzyliśmy, że jest szansa.

Najpierw szukaliśmy na ulicach kolorowych: Zielonej, Żółtej, bo uważaliśmy, że na taki zakup nas stać, bo jest tam taniej. Krążyliśmy w tych okolicach. Zastanawialiśmy się też nad ul. Kuronia, ale tam mieszkanie było do całkowitej adaptacji. Ogłoszenie z tym mieszkaniem na Leśnej cały czas gdzieś wisiało, ale było trochę za małe – Michał chciał, żebyśmy mieli oddzielne pokoje do pracy, a mi nie podobał się jego wystrój, takie Bizancjum. Ale potem, jak się tak przyjrzałam, to ten „przepych” mógł być łatwy do usunięcia, a miejsce było przecież wymarzone. I jakby tak trochę zeszli z ceny, to może, zbierając pieniądze po rodzinie, dałoby radę. Umówiliśmy się na spotkanie. Okazało się, że dziewczyna, która je sprzedawała, w następnym miesiącu bierze ślub. A my byliśmy wciąż świeżo po, dobrze nam się rozmawiało, chociaż w negocjacjach za dużo nie uzyskaliśmy. Ostateczną decyzję podejmowaliśmy na tarasie. Po krótkiej naradzie, czy zrezygnować z zakupu czy zostać przy wyższej cenie, byliśmy na tak. W kontekście tego, ile i tak kasy na mieszkanie

się wydaje, a przecież nam się tu bardzo podobało, zaryzykowaliśmy.

Weszliśmy do mieszkania dokładnie 4 lipca bieżącego roku. Ale mentalnie byliśmy tu od dawna. Naprzeciwko w bloku, na samej górze, mieszkają nasi znajomi i zawsze, kiedy do nich przychodziliśmy, mówiliśmy sobie, jak byliby fajnie mieszkać gdzieś obok.

Jak już wspominałam, mieszkanie było totalnie nie w naszym stylu. Jedyne łazienka obojgu się nam podobała, bo jest tu drewno w wyposażeniu, są belki, i jeszcze jedno, ja chciałam wannę, Michał prysznic, mamy i to, i to. Odstępstwem od naszych marzeń jest również fakt, że w łazience nie ma okna, ale szklane drzwi sprawiają, że w dzień jest tu w miarę jasno.

Natomiast w salonokuchni ściany wyłożone były okładzinami jakby z białego marmuru, a na połączeniu z sufitem umieszczono gzymsiki. Zupełnie nam to nie odpowiadało. Pierwsze, co zrobiliśmy, to skuliśmy ściany. Marzyły się nam cegły, mur pruski. Drewniane meble, które pasują do takich klimatów, mieliśmy już w starym mieszkaniu i chcieliśmy je zachować. Ścianę ceglana kładliśmy już poprzednio. Po ułożeniu wyjechaliśmy na kilka dni i jak wróciliśmy, wszystkie cegły leżały na ziemi. Mój kot przebiegał pod tym gruzowiskiem i tylko bałam się, żeby sobie czegoś nie zrobił. Teraz już umiemy kłaść cegły. Tu położyliśmy w kilku miejscach, już ktoś właśnie stwierdził, że może za dużo. Ceglane fragmenty będą wyglądały lepiej, gdy je wyfugujemy. Na jednej ze ścian w części salonowej, gdzie mamy mur pruski, chcemy powiesić nasze rowery ślubne, cruisery, białe i czarne. No właśnie przy zakupie tego mieszkania ważną była piwnica, która może pomieścić nasze siedem rowerów, to był też warunek.

Ważnym dla nas miejscem jest sypialnia, która tu była bardzo ciemna, fioletowa z bordową wykładziną. Zmieniliśmy wiele, na ścianie za wezwłociem wstawiliśmy stare, pozyskane z rozbioru deski. Początkowo chcieliśmy wziąć drewno z tartaku i postarać się sami ze względu na już bardzo ograniczony budżet. Daliśmy zaliczkę, ale po powrocie do domu stwierdziliśmy, że takie deski będą jedna w jedną takie same, że będzie to wyglądało jak boazeria. Zaczęliśmy szukać czegoś innego i pod Jezioranami znaleźliśmy firmę, która rozbiera domy, odświeża deski i dostosowuje do potrzeb odbiorcy. Wspaniałe, jaki panował spokój w zaadaptowanej na warsztat i biuro stodole. Nie jakaś ciśnieniówka, odkrywaliśmy tam fantastyczne rzeczy z drewna i metalu. Zamówiliśmy dechy, przysłali nam dokładnie opisane, podocinane na pióro. Fantastyczna współpraca, chociaż rzeczy nie są tanie, ale jakie piękne.

Najfajniejsze, nie tylko w remontowaniu, jest nasze wspólne działanie, mimo że się czasami wkurzamy na siebie. Wiadomo, mamy różne charaktery. Michał jest bardzo detaliczny i dokładny, taki inżynier, co robi wszystko co do milimetra. Ja jestem ogólna, patrzę szerzej na rzeczy. Ziemia i ogień. Michał robi wszystko tak, jak to powinno być, a ja się

wkurzam, bo nie wszystko musi być idealne, życie nie jest idealne. Uzupełniamy się. Wzajemnie się pilnujemy, on mnie, żebym nie szła na łatwiznę, a ja jego, żebyśmy w końcu skończyli.

Rozważając różne opcje mieszkaniowe, na pewno nie chcieliśmy mieszkać w domu. Owszem, domy są fajne, ale trzeba lubić być w domu, a my bardzo często wyjeżdżamy, a poza tym lubimy żyć w mieście, chodzić na koncerty, różne wydarzenia. Nam jest dobrze z tym, że w ciągu kilkunastu minut możemy znaleźć się na starówce, a z drugiej strony bardzo lubimy las i to miejsce do takiego życia jest idealne. Jesteś właściwie w jednym i drugim, dwa bloki dalej zaczyna się Las Miejski i to prawdziwy las, a nie jakiś park. Obok jest Jezioro Długie, trochę dalej Ukiel. Ok, w sezonie jest tu dużo ludzi, ale jesienią tam nie ma tłumów, jest cisza. Z domu do pracy, czyli parku technologicznego, jadę rowerem. Znalazłam dobrą trasę, najpierw jadę parkiem Podzamcze, dalej Centralnym, potem „kusot”.

Nie mamy domu i ogrodu, ale mamy taras i loggię, co jest super, bo oboje lubimy być na powietrzu. Gdy tylko mamy wolną chwilę, od razu chciałoby się wyjść na zewnątrz i tutaj to mamy, nie musimy specjalnie gdzieś wychodzić.

Na razie zajmujemy się wnętrzem, ale już wprowadzam zieleni na taras. Kupiłam trzy sosenki wytrzymałe na niskie temperatury, o małych rocznych przyrostach. Wcześniej była tu sztuczna palma, która pasowała do „bizantyjskiego” wystroju. Wraz z zielenią pojawiła się na tarasie dobra energia. Pomimo tego, że nasz dom jest otoczony innymi blokami, to z loggii mam widok na ratusz miejski, z jego wieżą i świecącą po zmroku tarczą zegara. Na pewno będziemy jeszcze dużo zmieniać na tarasie, chciałabym mieć podwieszane siedzisko à la kokon, żeby się w nim tak pierwotnie zwinąć. Powieszę je właśnie w miejscu z widokiem na ratusz, to będzie taka nasza więź z miastem – ten widok.

Koty Duszka i Redos przeprowadziły się z nami. Na początku były zestresowane, ale zaznałomiły się z domem i podwórkiem. W naszym starym mieszkaniu na Kofibrzeskiej wychodziły z nami na spacer, trochę jak psy, żyły tam swoim życiem. Chodziły do sąsiadów, którzy je znali i lubili. Tu dookoła domu są zielone skwerki. Poszliśmy z kotami na pierwszy spacer. Koty szły za mną, wyglądały prawie jakbym je prowadziła na smyczy, trzymały się blisko nogi. Wróciliśmy, koty szczęśliwe. Następnego dnia koty dostały wciroy od miejscowego kocura. Okazuje się, że tutaj na skwerku urzęduje szary kot, bardzo sympatyczny dla ludzi, łąsi się, ale obcym zwierzętom pokazuje, gdzie ich miejsce, broni terytorium. Przez kilka dni nasze koty nie wychodziły, ale teraz próbują się dogadać. Raz Duszka przed nim uciekała i wpadła do domu. Przeleciała przez całe mieszkanie, a „szary” za nią. Przestraszył się, że jest w miejscu, w którym nie powinien być, przeleciał przez taras i wyskoczył. Koty powoli się zadomawiają. Myślę, że już i tu stają się rozpoznawalne. Równie mocno jak my lubią nasz taras. Siedzą na nim cały czas, uwielbiają chodzić po balustradach, każdy ma swoje ulubione stanowiska do obserwacji. Zglądają, właściwie chodzą, do sąsiadów, na szczęście nikt nie ma pretensji.

Wprowadzając się do domu, w którym już ktoś mieszkał, chcieliśmy oczyścić go z obcej energii. Dostaliśmy od koleżanki szatnię białą i planowaliśmy zrobić rytuał oczyszczenia mieszkania. Akurat pojawili się nasi znajomi, którzy mają zrobione kursy szamańskie i dokonali oczyszczenia. Potrzebne atrybuty znalazły się w domu. Muszla, na której kładzie się i pali szatnię oraz piórko, którym się rozdmuchuje powstały dym, tak żeby okadać wszystkie kąty. Muszlę znalazłam podczas nurkowania w Pacyfiku. Pochodzi z Meksyku, mojego wymarzonego miejsca, gdzie chcę znaleźć się na emeryturze w miesiącach zimowych. W Polsce jest szaroburo od listopada, a w Meksyku jest wtedy fantastycznie. Puerto Epandito to najpiękniejsze miejsce – miesiące letnie będziemy spędzać właśnie tam. Piórko pochodziło ze wspólnej jazdy rowerowej po Lesie Miejskim. W rytuale powinny brać udział różne postaci, dzieci, zwierzęta. Okazało się, że nasze koty same zaczęły w tym wszystkim uczestniczyć, dzieci sąsiadów coś do nas wołały, akurat się pojawiły, a nie zawsze są. To była ciekawa ceremonia. Przeszliśmy po wszystkich pomieszczeniach, zwracaliśmy się do naszych przodków i aniołów stróży. Myślę, że coś się zadziało, bo wszyscy się naprawdę wzruszyliśmy i na koniec zaśpiewaliśmy: „A jeśli dom będę miał. To będzie bukowy koniecznie”.

Jeszcze remontujemy, ale już teraz siadam rano na tarasie i nieśpiesznie zaczynam dzień. Czytam sobie *Wielką księgę radości*. Jest to rozmowa Dalajlamy z arcybiskupem Desmondem Tutu, podczas której rozmówcy dyskutują o tym, jak można osiągnąć szczęście wewnętrzne. I tak sobie myślę: „Jest dobrze, nie potrzeba nam więcej”. Mam takie poczucie, że nie potrzebuję dążyć do czegoś więcej i więcej, jest we mnie wewnętrzny spokój. To, co mam, mi wystarczy. Jest nam tu dobrze, nawet nie chciało się nam stąd wyjeżdżać na zaplanowany wyjazd.



Fot. z archiwum Magorzaty Wiśniewskiej-Jurkowskiej

ANNA RAU

Nieskończony ruch elektronów i protonów

Kiedy 13 stycznia 1864 r. bogaty pruski właściciel ziemski Carl Wien wziął na ręce swojego nowo narodzonego syna Wilhelma, nawet przez myśl mu nie przemknęło, że ten jego potomek, który według niezmiennego porządku społecznego miał w przyszłości przejąć majątek Wienów, zostanie fizykiem, a do tego noblistą. Jednak czasem nieważne, zdawałoby się, wydarzenia zmieniają wszystko...

Wilhelm Wien urodził się w Gaffken (obecne Parusnoje w okręgu kalinigradzkiem), jednak już dwa lata później cała rodzina Wienów przeprowadziła się do nowo zakupionego majątku w Drachenstein (Smokowo niedaleko Kętrzyna). Mały Wilhelm, jak większość ówczesnych ziemiańskich dzieci, był nauczany w domu. Jednak albo jego nauczyciel nie był zbyt dobrym wykładowcą, albo chłopiec niespecjalnie się przykładał do nauki, skoro gdy w 1879 r. zapisano go do Gimnazjum im. Księcia Alberta w Rastenburgu (Kętrzyn), nie zabawił tam zbyt długo, gdyż został wyrzucony z powodu zbyt niskich wyników w nauce. Dopiero drugie podejście do edukacji, tym razem w szkole publicznej, skończyło się sukcesem – młody człowiek zakończył ten etap nauki w 1882 r. Czy pierwsza porażka wpłynęła na jego ambicję i zmotywowała w dalszym życiu? Prawdopodobnie tak, skoro na studiach w Getyndze zajął się najwyższym kalibrem nauk – fizyką i matematyką. Wkrótce zaś to właśnie Wilhelm mógł wybierać – zmienił ową uczelnię na bardziej prestiżową i efektywniejszą pod kątem badań, czyli przeniósł się na uniwersytet w Berlinie. Tam też zaczął studiować fizykę pod kierunkiem znanego wówczas naukowca Hermana Helmholtza i po trzech zaledwie latach otrzymał doktorat – oczywiście z fizyki. Osiągnąwszy tak wiele, Wien posłusznie powrócił do posiadłości swego ojca, los jednak jakby wskazywał, że wszystko w życiu młodego naukowca ma być inaczej: gospodarstwo splonęło. Wienowie zaczęli odbudowywać zniszczone zabudowania, ale inwestycja przekroczyła ich możliwości i ostatecznie ziemię sprzedali, Wilhelm zaś w 1887 r., niejako na „rekonwalescencję psychiczną” po tych trudnych latach, wyjechał powtórnie do laboratorium swojego mentora Helmholtza. I oto zaczęło się jego nowe, „prawdziwe” życie. Rozpoczął wówczas eksperymenty z metalami oraz promieniami świetlnymi i cieplnymi pod kątem ich wzajemnego wpływu oraz przepuszczalności materii. W 1896 r. otrzymał nominację na profesora fizyki w Aachen i po czterech latach (z krótką przerwą na pracę naukową w Giessen) przejął w Würzburgu gabinet i funkcje Wilhelma Röntgena, który już wkrótce otrzymał za swoje badania pierwszą w historii Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Była to niejako świetna wróżba dla młodego jeszcze, ale niezwykle obiecującego, Wiena, który zresztą nie próżnował: jeszcze w tym samym roku wydał swój artykuł o hydrodynamice. W trzy lata później zaś zaczął swoją drogę ku własnej Nagrodzie Nobla: zdefiniował zasadę wpływu temperatury na częstotliwość fali, znaną jako prawo zmiany. W 1894 r. powstała kolejna jego praca, przełomowa i zaskakująca, gdyż w niej opisał ciało zwarte doskonale czarnym, którego główną cechą była możliwość całkowitego pochłaniania wszelkiego promieniowania. I wreszcie, w dwa lata później, przedstawił prawo nazwane jego imieniem, pogłębiające wiedzę na temat ciała czarnego. Jakkolwiek była to praca

czysto teoretyczna (i, jak udowodniono później, dotyczyła jedynie fal krótkich), przyczyniła się w późniejszym czasie do poznania nowych technik oświetlenia oraz do pomiarów niezwykle wysokich temperatur. W 1911 r. wschodniopruski naukowiec otrzymał właśnie za owe badania Nagrodę Nobla. Trzeba zresztą dodać, że to dzięki pracy Wiena Max Planck rozwiązał kwestię związaną z fizyką kwantową, dotyczącą promieniowania cieplnego. Wracając – w 1897 r. Wien swoimi badaniami potwierdził, iż promieniowanie katodowe to ruch naładowanych negatywnie cząsteczek, które później nazwano elektronami, i, mierząc zależność ich ładunku do masy, potwierdził, że są 2000 razy lżejsze od atomu wodoru. Do tego ów wynik Wiena potwierdził prace dokonane – niezależnie od niego – przez Josepha Johna Thomsona. Wien zaś w 1898 r., posługując się najnowszym, wymyślonym przez Eugena Goldsteina urządzeniem, odkrył pozytywnie naładowane promienie katodowe (nazwane potem protonami), a ponadto – dzięki pomiarom ich pola elektrycznego oraz magnetycznego – stwierdził, iż te pozytywnie naładowane cząsteczki nie mogą być cięższe niż elektrony. Metody, którymi się posługiwał, użyto podczas badań wykonywanych 20 lat później podczas ścisłych pomiarów mas atomów i ich izotopów. I oto wreszcie prawdziwa rewolucja: w 1900 r. Wien przedstawił tezę, iż ruch ciał i ich wzajemne oddziaływanie opierają się na elektromagnetyzmie, następnie ponowił badania nad promieniowaniem, co w 1912 r. ukoronował tezę, że atomy w promieniach „opuszczają” je i „powracają” dzięki odbijaniu się od gazów. Würzburg zatrzymał Wilhelma na 20 lat i mimo lukratywnych propozycji naukowych od uniwersytetów w Lipsku i Berlinie naukowca skusiła dopiero praca w zasłużonej uczelni w Monachium. Tam też działał do końca życia. Trzeba zaznaczyć, iż był to dla Niemiec czas trudny politycznie i społecznie, a Wien bynajmniej nie był wyizolowanym i apolitycznym naukowcem, lecz aktywistą w polityce naukowej, plasując się w tamtejszych układach po stronie konserwatywnej i nacjonalistycznej, choć nie aż tak bardzo, aby popierać skrajnych nacjonalistów z obozu „Deutsche Physik” (m.in. nigdy nie kwestionował dokonań oraz miejsca w niemieckim świecie naukowym Alberta Einsteina). W sferze prywatnej Wien również był człowiekiem spełnionym: w 1898 r. poślubił Luise Mehler i razem doczekali się czworga dzieci – Gerdy, Hildegardy, Karla i Waltrauta. Źródła dodają, iż był z charakteru niezwykle otwarty i chłonął wiedzę – lubił podróże (zwiedzał m.in. Włochy, Anglię, Hiszpanię i Grecję) oraz muzea i galerie sztuki. Jego ulubione lektury dotyczyły najczęściej historii. Naukowiec zmarł nieoczekiwanie 30 sierpnia 1928 r. w Monachium w wieku 64 lat.

Zapał naukowy i umiejętności Wilhelma Wiena można określić jako nieprzeciętne, a jego dokonania są nieprzecenione dla współczesnej nauki, jednak nie jest on postacią ani specjalnie pamiętaną, ani uhonorowaną. Jako że Warmia i Mazury nie doczekały się jeszcze noblisty w żadnej dziedzinie z zakresu humanistyki czy nauk ścisłych, tym bardziej warto pamiętać o poprzednich, tak bardzo zasłużonych, mieszkańcach naszego regionu. Postać Wiena można oceniać różnorako, gdyż przyszło mu żyć w niejednoznacznych czasach, jednak jego wkład w obecny rozwój cywilizacji jest bezsprzeczny.

ANITA ROMULEWICZ

Liczby według Bongo

„– Trzy plus dwa to pięć. Pięć plus siedem to dwanaście. Dwanaście plus trzy to piętnaście. Dzień dobry. Piętnaście plus siedem daje dwadzieścia dwa (. . .). Uff! Łącznie pięćset jeden milionów sześćset dwadzieścia dwa tysiące siedemset trzydzieści jeden.

– Pięćset milionów czego?

– He? Jeszcze tu jesteś? Pięćset jeden milionów. . . już nie pamiętam czego. Mam tyle do zrobienia! Jestem osobą poważną, nie zajmuję się głupotami!”

Taką właśnie odpowiedź na temat rachowania i liczb otrzymał Mały Książę od Biznesmena, którego spotkał na planecie czwartej. Sam uznał owo zliczanie, podliczanie wszystkiego przez dorosłych oraz uleganie magii liczb za dość poetyckie, jednak niezbyt poważne. Innego zdania są wszyscy miłośnicy numerologii, którą już w drugiej połowie XVII wieku uznano za pełnoprawną naukę. Z łaciny *numerus* oznacza liczbę, a greckie *logos* – naukę. Jako pierwsi badanie znaczenia liczb zapoczątkowali Włosi i to oni, aby doskonale zrozumieć liczby i ich sens, zaczęli traktować numerologię interdyscyplinarnie. Dlatego też nie oddzielano jej od wróżbiarstwa, z którego wyrosła, ale wskazywano na równoważność tych dyscyplin. Wiek później numerologia, jako astrologiczna wiedza tajemna o magicznym, ukrytym w człowieku znaczeniu liczb, wyjaśniała całe systemy liczbowe oparte na przypisywaniu literom określonych cyfr. I choć przez ostatnie 300 lat jako gatunek ezoteryczny pasjonowała wielu badaczy, dziś została zdegradowana do pseudonauki, która choć posługuje się językiem naukowym, nie potwierdza naukowo swoich tez.

Tymczasem wiele dzieł, jakie powstały w okresie świetności numerologii, ma silne, naukowe podstawy. Siega się w nich do przekazów starożytnych, jak choćby do niepodważanych współcześnie praw matematyki i geometrii głoszonych przez pitagorejczyków, np. podziału liczb na parzyste i nieparzyste czy twierdzenia o trójkącie prostokątnym. To oni utrzymywali, że liczba jest bytem, realną siłą wpływającą na kształt materii. Jedno z ich hasł brzmiało: „wszystko jest liczbą”. Sam Pitagoras zakładał bowiem w swoich rozmyśleniach, że fundamentem rzeczywistości jest matematyka i że wszystko, co jest widzialne i niewidzialne, można przedstawić liczbami, ponieważ wszechświat został stworzony z wibrujących energii, którym odpowiadają energie poszczególnych cyfr. Uważał, że wibracje wszechświata w momencie narodzin człowieka wpływają na jego los i charakter, bo jest to rodzaj pieczęci, która plasuje każdego człowieka na jednym z energetycznych poziomów od 1 do 9.

W Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie w kolekcji starych druków, czyli dzieł wydanych drukiem przed 1800 r., znajduje się egzemplarz tyle niezwykły, co wyjątkowy wśród innych dawnych ksiąg. To *Numerorum misteria*, czyli *Tajemnice liczb*, książka o numerologii, stojąca obok innych, wydawałoby się bardziej zacnych dzieł z teologii, głównie okresu reformacji i kontrreformacji. Napisał ją niejaki Piotr z włoskiego miasta Bergamo, położonego u południowych podnóży Alp w malowniczej Lombardii. Autor księgi, w świecie łacińskim

nazywany Pietro Bongo Bergomatis, tam właśnie się urodził i tam też zmarł jesienią 1601 r. Jako potomek szlacheckiej rodziny miał możliwość podejmowania licznych studiów, toteż zgłębił nie tylko tzw. *quadrivium*, czyli cztery sztuki wyzwolone: arytmetykę, geometrię, teorię muzyki i astronomię, ale też filozofię i teologię, klasyczną poezję oraz . . . okultystyczne nauki magii i kabały. Postulował się przy tym wieloma językami, dzięki czemu mógł śmiało zgłębiać dziedzictwo obcych kultur, w tym starożytnych. Nie były dla niego przeszkodą zapisy greckie, hebrajskie czy łacińskie. A co badał? Jako człowiek późnego etapu włoskiego renesansu, świata chrześcijańskiego rozwijającego się pod czujnym okiem papieży i kardynałów, w swoich dziełach starał się pogodzić wspomnianą, fascynującą dla niego doktrynę Pitagorasa z teologią chrześcijańską. Sam w pewnym momencie rozpoczął karierę kościelną, jednak stawę zdobył właśnie pracami na temat metafizycznego i magicznego znaczenia liczb. Nie uprawiał przy tym czystej, „niepoważnej” kabalistyki, ale w swoich dociekaniach opierał się, jak ów Biznesmen z Małego Księcia, na poważnej nauce.

W 1585 r. opublikował w Wenecji *De mystica quaternarii numeri significatione*. To samo dzieło dwa lata przed śmiercią autora, czyli w 1591 r., zostało przerobione i wydane ponownie, jednak pod zmienionym tytułem *Numerorum mysteria*. W Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie zachował się egzemplarz ostatniej edycji oryginalnego dzieła – wykonano go w Paryżu w 1618 r. Przez wszystkie te lata i wieki później praca Piotra Bongo z Bergamo osiągnęła status prawdziwego bestsellera. Zapewne sam temat książki nie wystarczyłby, aby w ówczesnym świecie zdobyła ona tak zawrotną popularność, jednak to, jak został on przedstawiony, sprawiło, że autor zyskał mecenasa i to nie było jakiego.

Bongo pisał, że liczb nie należy rozpatrywać jedynie rozumowo, ale patrzeć na nie z perspektywy tradycji i religii. Wtedy nabierają zupełnie nowego znaczenia i sensu. Odkrywa się w nich nowe wymiary, dzięki którym łatwiej zrozumieć oraz wytłumaczyć naturę świata i Boga. Porównanie do Pitagorasa dodawało tej tezie naukowych podstaw, a sama interpretacja konkretnych liczb, jak np. numero DCLXVI, czyli 666 odczytywana jako Antychryst w osobie samego Marcina Lutera, przysparzała wysoko postawionych promotorów. Książka została zatwierdzona przez Święte Oficjum w 1591 r. i zawiera przedmowę patrona – Ludovico Madruzzo, włoskiego kardynała i polityka, księcia biskupa Trydentu, kandydata na papieża, ale też mecenasa sztuki.

Przez stulecia *Tajemnice liczb* były cytowane przy badaniach kosmologicznych i filozoficznych, np. o monadach według Giordano Bruno. Przywoływano ją przy omawianiu dokonani wielkich matematyków i twórców literatury np. Milтона i jego *Raju utraconego*, czy do tłumaczenia alegorii w sztuce. Okazała się też inspirującą dla polskich badaczy słynnego mickiewiczowskiego „40 i 4”, z którego przemawia imię Adam według gematrii, czyli kabalistycznego systemu liczbowego odczytywania liter. Do dziś popularne dzieło Pietro Bongo, pomimo głosów krytyki odnoszącej się głównie do nieuporządkowania myśli, oceniane jest jako książka bogata kulturowo i interesująca, a co za tym idzie, nadal wznawiana.

AGNIESZKA WIRCHANOWICZ

Miasto w drodze

Opowieść Erdmute Sobaszek to przywoływanie wspomnień, współtwórców i miejsc z ośmiu lat artystycznych spacerów po mieście, a nie analizowanie archiwów wydarzeń. Początek – rok 2012 – w Olsztynie to czas dużych zmian i fermentu w środowisku kulturalnym. Działania były częściowo protestem przeciwko zamknięciu w CEiIK-u działu, w którym pracował Teatr Węgajty – pozbawiając tym samym teatr oparcia instytucjonalnego. Ze spotkań i rozmów środowiska kulturalnego z różnymi instytucjami, również pozarządowymi, o niezadowoleniu, potrzebie reformowania i braku wpływu twórców środowiska kulturalnego, wyłoniły się różne punkty widzenia, zaistniały też napięcia i konflikty. Dla Erdmute Sobaszek był to twórczy, konstruktywny czas, wynikający nie tylko z potrzeby dyskusji, ale też z twórczego kontaktu i współtworzenia. Przy zastanawianiu się nad formą, która mogłaby zostać stworzona przez różnych aktorów sceny kulturalnej, inspirująca była dla Erdmute opowieść Katarzyny Krupki, niegdysiejszej aktorki Teatru Węgajty, która mieszka w Tarragonie w Hiszpanii. Opowiadała o wędrownce poetyckiej, organizowanej w katalońskim miasteczku – kiedy w ciągu jednego dnia różne sklepy i knajpki częstowały i zapraszały publiczność. W każdym z miejsc był mały koncert lub czytanie poezji. Była to popularna wędrownka za muzyką i za poezją. Powstał pomysł przeniesienia, dostosowania działań w Olsztynie, rozmów z twórcami i działającymi grupami, przyjrzenia się miejscom kultowym i zaskakującym, gdzie dzieje się coś ciekawego, niezależnego, nowego.

MIESCA

Podczas pierwszego *Miasta w drodze* Erdmute zaproponowała swoje działania artystyczne – sceny z monodramu *Anioły, kochankowie i Kraina Skarg* w pobliżu Domu Mendelsohna, na rogu ulic Smętka i Zyndrama z Maszkowic. Zaprosiła wtedy Jenny Burniewicz, prowadzącą wówczas dziecięcy Teatr Harmonia, do pokazania spektaklu

Centrum galaktyk. Ta piękna akcja odbyła się przed zamkiem. Za pomocą latarek dzieci odgrywały gwiazdy, gwiazdozbiory. Towarzyszył temu taniec, ruch – szczególnie, jaki zapewnia eurytmia – oraz piosenka skomponowana przez Jenny. Dziś występ w tym miejscu nie byłby możliwy, jest ono obsadzone krzewami, wymyślne i poukładane. Jenny, kiedy tamtędy przechodzi, wspomina inny układ architektoniczny z czasów występu, puste przestrzenie, w których można było się poruszać. Kolejne miejsce twórczych działań to nieistniejąca już knajpka Pozytywka, gdzie Anaïs Fourier pokazała *Bajkę* – ilustrowaną opowieść dla dzieci i dorosłych. W Kościele Ewangelickim Zofia Bartoszewicz zrobiła mały koncert improwizacji na głos i przestrzeń.

Kluczem poszukiwania miejsc w pierwszych *Miastach w drodze* była refleksja nad przestrzenią urbanistyczną i związanymi z nią problemami, jak kiedyś przejście dla pieszych przy Wysokiej Bramie, gdzie bardzo długo stało się, czekając na zielone światło. Teraz ta przestrzeń jest sprzyjająca pieszym, ale wtedy samochody miały pierwszeństwo i Zofia Bartoszewicz wymyśliła happening artystyczny, podczas którego zapraszała na fotele i prowadziła zajęcia z relaksacji, żeby się nie denerwować przy długim czerwonym świetle. Były też opowieści o tym, jakie to miasto jest.

Marek Barański, który ma olbrzymią wiedzę o historii poszczególnych ulic, czy dawnych wydarzeniach miasta, robił w czasie spacerów miniwykłady. W Antykwariacie Izabeli Walesiak Waclaw Sobaszek i Marek Barański czytali wiersze, a Tadeusz Piotrowski prowadził warsztaty z kaligrafii. Miasto w drodze było też w Koszarach Dragonów, kiedy trwała na ich temat gorąca dyskusja. Zwiedzaniu w ciemności, z latarkami, towarzyszyła muzyka Erdmute Sobaszek. Liceum Plastyczne było kilka razy miejscem goszczącym spacer – w czasie spektaklu, malarskich wystaw ad hoc Józefa Hirkowskiego i wieszanej przez



wielu pomocnych ludzi dwudziestometrowej *Puszczy Amazońskiej*, stworzonej pod okiem Tadeusza Piotrowskiego. Do tego dochodzą miejsca mniej oczywiste, jak podwórko za kinem Awangarda, gdzie performans zrobiła Anna Drońska. Dworzec kolejowy, na którym odbył się zeszłoroczny spektakl, tramwaje, w których wiersze czytały Półkowniczki. Dwa lata temu Erdmute Sobaszek i Zofia Bartoszewicz zrealizowały akcję *Interwencja oniryczna* w Galerii Handlowej Aura. Przez lata spacerów, miejsc było mnóstwo. W wielu mało znanych, pomijanych i niezauważanych punktach zadziało się coś twórczego. Po Pozytywce, kawiarnioksięgarni Tajemnica Poliszynela i kawiarence Na walizkach Cafe pozostały wspomnienia spotkań i wspólnych działań.

PARTNERZY

Krąg partnerów akcji się rozszerza, a piastunki *Miasta w drodze* – Erdmute i Zofia – dążą do zapraszania nowych współtwórców. Są osoby działające od początku i wracające jak Jenny Burniewicz. Grupa artystyczna Fałdy z Anną Drońską włącza się z kolejnymi happeningami. Marek Barański jako bardzo ważna podpora, Wiesław Wachowski i wiele jego performansów. Tadeusz Piotrowski z warsztatami plastycznymi i uwiecznianiem scen ze spektakli. Wspólne działania osób nieoczywistych i debiutujących z nami, jak warsztat migania z udziałem Małgorzaty Mickiewicz i Barbary Pardy, dwa razy kuchnia czeczeńska Luizy Ibragimowej, w tym roku romski zespół Hitano, zespół teatralny Bhawo, grupa Barka ze Środowiskowego Domu Samopomocy, aktywna grupa z Sejmiku Osób Niepełnosprawnych. Kiedy współtwórczyniami zostały Półkowniczki, dzięki ich obecności dotychczas zupełnie nowy krąg ludzi. Publiczność jest różnorodna, jak nasze działania twórcze. To przypadkowy przechodzień zahipnotyzowany przy Wysokiej Bramie wariacjami ruchowymi członkiń Olsztyńskiego Teatru Tańca, który niedawno zaistniał i włączył się w akcję *Miasto w drodze* po raz pierwszy. Jak również osoby nieśmiało zainteresowane działaniami warsztatowymi, pod okiem Tadeusza Piotrowskiego i ze zdradzonymi przez niego sekretami przekonują się, że potrafią narysować siłowie o świcie, namalować jesienny las, zaprezentowany od razu na wernisażu ad hoc w Galerii Dobro. Jest też wieloletnia publiczność, przygotowana na kolejne performanse Wiesława Wachowskiego, Anny Drońskiej i Zofii Bartoszewicz, na kolejne nieoczywiste koncerty, warsztaty i spotkania.

Tadeusz Burniewicz „debiutujący” na ostatnim *Mieście w drodze* jako współautor filmów do wierszy Marka Barańskiego, opowiadając o publiczności, której przy poprzednich edycjach był częścią, wyraża swój zachwyt nad pokonywaniem przez nią stromych schodów, jakby do piwnicy, do sali w Galerii Usługa, gdzie odbywał się pokaz. Niesamowite wrażenie zrobiły osoby na wózkach inwalidzkich, były niesione po schodach niczym latające w procesji.

Opowieść Marka Barańskiego o *Mieście w drodze* to opowieść przewodnika prowadzącego spacer po nieoczywistych miejscach. Mówi, że sam jest chłopakiem z miasta, niewyjeżdżającym na dłużej z rodzinnego Olsztyna. Słyszac o ulubionym spacerze po miejscach dzieciństwa na Zatorzu, o ulicy Kasprowicza, o zejściu do wąwozu, w którym płynie Łyna – tak blisko Alei Wojska Polskiego i dawnego kina Grunwald – chciałabym nakreślić na swojej mapie wędrówek nowy szlak. Przewodnik wspomina, jak ucieszył się, gdy Mute i Wacek Sobaszkowie zaprosili go, by pokazał wszystkim przyjaciółom te niezwykle miejsca. Szczególny był też spacer ulicą Skłodowskiej-Curie, z jej ogromnym spadkiem, ulicą kiedyś

pełną warsztatów rzemieślniczych, dziś z jednym zakładem dorabiania kluczy, którego „klu-czową” postacią jest kolega z klasy.

Opowieści miejskie, postrzegane raczej jako turystyczne niespieszne przechadzki, czasem łącząc z refleksją szerszej natury, gdy w księgarni Za Rogiem na 500-lecie protestantyzmu mówił o Lutrze i Biblii w językach narodowych, a na Starym Mieście przed Kościołem Ewangelickim przypominał wiersz Erwina Kruka o wydobywym z łyny kamieniu węgielnym tej świątyni. W 80. rocznicę „nocy kryształowej” przy ulicy Grunwaldzkiej pokazywał miejsce po synagodze spalonej przez hitlerowców w 1938 roku.

W tym roku, po nieoczekiwanej propozycji Zofii Bartoszewicz, Marek Barański odstąpił od roli przewodnika i w Galerii Usługa zaprezentował 6 swoich krótkich wierszy, które zinterpretowali klipami filmowymi Tadeusz i Bartek Burniewiczowie. Połączenie poezji i filmu było eksperymentem, powstało coś, co nie jest tylko filmem i tylko poezją, a jest nową formą.

Cały urok *Miasta w drodze* tkwi w autentyczności, współtwórcach i publiczności, której chce się wędrować, chce się dotrzeć w miejsca akcji, odszukać je. Marek Barański nazywa *Miasto w drodze* rodzajem przyrzędu, jakby termometru mierzącego reakcję społeczną na działania alternatywne. Wspomnianym przyrzędem można zmierzyć zasoby bezinteresownej, wzajemnej sympatii, to jak ludzie siebie traktują i co ich interesuje. Dlatego ta inicjatywa jest taka istotna.

PRZYSZŁOŚĆ

Dotychczas padały pytania do współtwórców o to, co mogliby zaproponować. Kiedy Mute mówi o przyszłości, następnym spacerach, widzi je jako wcześniej przygotowany program wydarzenia, wspólnymi siłami z szerszą grupą aktywnych artystów. Planom towarzyszy ciekawość tego, co przyniosą następne akcje. Mute mówi też o wdzięczności za wszystkie kontakty i przyjaźnie, które się nawiązały, o tym, że dużo przyjemniej jest żyć i tworzyć w Olsztynie, gdzie atmosfera jest otwarta, nieskomplikowana i nastawiona na wspólne działanie z osobami o specjalnych potrzebach. Współtworzenie opiera się na zaufaniu ludzi, którzy chcą ze sobą spontanicznie działać. Miasto tworzy siatkę, pajęczynę, która rozrasta się wraz z kolejnymi akcjami, poszerzamy krąg twórców i odbiorców. Nie ma klasycznych granic i barier, podziału twórcy-odbiorca. Odbiorca może stać się współtwórcą.

Opowieść Hanny Brakonieckiej o *Mieście w drodze* jest historią o otwieraniu serc, pasji dzielenia się, radości tworzenia i przestrzeni do wspólnych działań. O pasji, która jest w Mute i Zofii, przyciągających do siebie urokiem, autentycznością i wrażliwością współtwórców ze wszystkich dziedzin sztuki: muzyki, tańca, śpiewu, filmu, poezji i niezwykłych improwizacji. Działania te łączyła potrzeba szacunku i empatii wobec innych. Jest to opowieść o tym, jaką twórczyni dają przestrzeń do wspólnych aktywności, pracując z wieloma środowiskami, grupami, osobami o różnych zainteresowaniach, profesjach, o różnej narodowości, z osobami o specjalnych potrzebach. Równocześnie wzbogacając współtworzenie i z niego czerpiąc. Wynika to z miłości do ludzi i otwartości niemającej ograniczeń. Nie ma miejsca na nadęcie, udawanie i szpan. Hanna Brakoniecka na tegorocznym przystanku akcji czytała fragmenty swojej niepublikowanej książki *Inny. W Mieście w drodze jest wiele różnorodności, inności*. Współtworzący akcję i publiczność właśnie dzięki tej inności lubią działać i dzielić się swoimi spostrzeżeniami.

MAJA DZIECIĄTEK

Podwórka z natury w liczbach

Trzecia edycja programu „Podwórka z Natury” zmieniła trzy miejsca w naszym mieście. Umożliwienie mieszkańcom oswojenia na swój sposób przestrzeni, którą mają wokół siebie, zainicjowało kreatywność, przedsiębiorczość i spowodowało, że zmieniła się przestrzeń, ale i my wszyscy, którzy braliśmy w tym projekcie udział, dużo się nauczyliśmy. Nikt nam wcześniej nie powiedział, że podążamy za najnowszymi trendami, że projektujemy podwórka używając design thinking, czyli innowacyjnej metody, która przede wszystkim uwzględnia perspektywę użytkownika. Cały proces realizacji przedsięwzięć wydawał się tak naturalny, a jednocześnie tak bardzo inny niż to wszystko, z czym kojarzą się nam działania urzędu. „Podwórka z Natury” wydają się wręcz niemożliwe do realizacji przez urząd, chyba że i w takiej instytucji znajdują się bardzo otwarci ludzie, ale wtedy trzeba pozbyć się wszelkich stereotypów. Zapomnieć o pracy od do, czy o tym, że wie się lepiej... Można podpowiadać, inspirować, ale decyzje są w rękach tych, którzy tworzą swoją własną miejską przestrzeń. Zadaniem organizacji, która koordynowała działania, jest stworzenie warunków do przeprowadzenia całego procesu i dyskretne towarzyszenie sąsiadom w ich pełnych energii działaniach.

„Podwórka z Natury 2019” objęły: „Podwórko Wróbla Mazurka” (przy ul. Puszkina), „Nasze Podwórko” (na rogu ulic Żeromskiego i Sienkiewicza) oraz podwórko przy ul. Dąbrowszczaków.

Spotkania z mieszkańcami rozpoczęły się w lutym br. Początkowy etap to inspiracje, diagnoza potrzeb mieszkańców i wizje przełożone na papier przez studentów architektury krajobrazu Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Następnie rozpoczęto prace...

Każde podwórko jest inne. „Podwórko Wróbla Mazurka” to była zielona przestrzeń, ale zaniedbana, a kilkudziesięciu gospodarstw domowym oferowała tylko jedną ławeczkę, na dodatek pozbawioną oparcia. Mieszkańcy bardzo chcieli pozbyć się żywopłotu, który przerastał innymi roślinami, utrudniał poruszanie się po chodniku. Marzyli o tym, żeby ich podwórko, choć mieszkają w powojennych blokach, miało tak samo piękne obramowanie zieleni jak historyczne kamienice. Oni też największą uwagę zwracali na „braci mniejszych”. Tu zostały zawieszona na drzewach domki dla ptaków i domek dla owadów. Stworzyli także miejsce do sąsiedzkich spotkań, modyfikując przebieg chodnika i montując ławeczki. Posadziliśmy brakujący jarząb, trawy, krzewy i byliny. Z dziećmi bawiliśmy się w teatrzyk na trzepaku o zaśmiecaniu otoczenia. To była również lekcja dla dorosłych.

Nasze podwórko było podobne do wielu innych. Wciąż nam się wydaje, że to luksus zaparkować samochód wprost przed wejściem do budynku, a tymczasem tym luksusem może być piękny ogród, który odbierze nadmiar wody deszczowej, będzie cieszyć zielenią i kwiatami. Tu przewodnim tematem były śmieci. Wygrodenie śmietnika, zmiana sposobu



JUSTYNA OSTROMECKA*

Sitodruk jest zero-jedynkowy, nie znosi szarości

odbierania śmieci, edukacyjne tablice oraz donice i zabawki wykonane ze zużytych opon spowodowały, że teraz przyjemnie jest wypić kawę w towarzystwie sąsiadów właśnie na podwórku. Jest też o czym rozmawiać, bo wspólnych tematów jest więcej: o tym, jak rośnie, o tym, co jeszcze można zrobić i czy system retencyjny się sprawdza.

Podwórko przy ul. Dąbrowszczaków to jedyne podwórko z centrum miasta. Coraz mniej tu mieszkańców, bo piękne mieszkania zamieniają się na kancelarie prawnicze lub siedziby firm. Tu było nas najmniej i chyba nikt nie myślał, że uda nam się tak sprawnie przeprowadzić prace na podwórku. Po procesie projektowania, który przebiegł bez większych emocji z akceptacją zaproponowanych rozwiązań, dopiero gdy przyszło do realizacji, to okazało się, że jednak trzeba inaczej. Studenci, gdy projektują, nie mają żadnych ograniczeń, są ambitni i czasem ich propozycje są trudne do realizacji. Tym razem poprosiliśmy o pomoc architekta krajobrazu i projektowaliśmy na podwórku jeszcze raz. Nagle się okazało, że sąsiedzi mają pomysły na to, co należy posadzić. Dylemat: czy ma być ławka czy nie (bo może będzie miejscem wykorzystywanym przez klientów niedalekiej galerii alkoholi), został rozstrzygnięty na korzyść ławki. Mamy nadzieję, że również na korzyść mieszkańców. Teraz mamy tu trzy zielone wyspy z nasadzeniami i najbardziej romantyczną przestrzeń. Bluszcze pnące się po drewnianych kratkach, głogi i róże, i trochę zapomniana mahonia, którą znaleźliśmy aż w Dębicy. Dobrze, że szczęśliwie przetrwała podróż.

Na każdym podwórku mieszkańcy zintegrowali się i swoimi rękami wykonali prace, które warte są przynajmniej po kilka tysięcy złotych. Ważniejsze jednak jest, że zyskali poczucie wpływu na to, co się wokół nich dzieje, poczucie, że wiele zależy od ich osobistego zaangażowania, że jeśli działa się wspólnie, to nawet trudne rzeczy stają się prostsze. Zyskali też sympatycznych, uczynnych sąsiadów, którzy do tej pory kryli się za drzwiami swoich mieszkań, a teraz pokazali swoje talenty, swoją osobowość. W takim otoczeniu żyje się po prostu lepiej.

Z niecierpliwością czekamy na wiosnę, gdy wszystko rozkwitnie. Będziemy z uwagą sprawdzać, jak przyjęły się rośliny, ale najpiękniej byłoby, gdyby przyjął się w naszym mieście taki sposób działania.

W LICZBACH PROJEKT PREZENTUJE SIĘ NASTĘPUJĄCO:

w naszym mieście przybyło 947 sztuk roślin (nie licząc tych, które pojawiły się jako indywidualne inicjatywy po realizacji projektu), 5 ławeczek, 5 budek łęgowych, jeden domek dla owadów, konstrukcja z opon do zabawy dla dzieci, galeria śmietnikowa o recyklingu, 7 donic zrobionych przez mieszkańców (z desek drewnianych lub zużytych opon) i dużo dobrej energii.

Technika graficzna używana początkowo przez Japończyków do ozdabiania kimono, współcześnie kojarzona głównie z drukiem komercyjnym na t-shirtach lub z pracami Andy'ego Warhola – sitodruk, serigrafia, screen printing – staje się coraz bardziej dostępna dla osób niezwiązanych ani z poligrafia, ani ze sztuką. Jako przyjemna forma spędzania czasu pozwala ona każdemu stworzyć efektowną grafikę i poczuć się artystą.

Jednak nie każdy projekt nadaje się na sito. By stworzyć odpowiedni, taki, który wykorzysta możliwości techniki, a jednocześnie nie stanie się niezdolnym do pracy, trzeba poznać zasady, którymi sitodruk się kieruje. Jest on bowiem metodą, można powiedzieć, logiczną, zero-jedynkową. Co to oznacza?

Sitodruk jest techniką druku szablonowego, czyli, by móc coś wydrukować, trzeba najpierw stworzyć szablon – matrycę. Powstaje ona na specjalnym sicie, które pokrywa się do tego celu emulsją światłoczułą, którą następnie naświetla się przez odpowiedni czas. Nie naświetla się jej jednak w całości – gdyby tak było, cała emulsja utwardziłaby się i farba drukarska nie mogłaby przecisnąć się przez oczka sita, czyli nie dałoby się drukować. To my decydujemy, gdzie emulsja stwardnieje, a gdzie zostanie wypłukana, tworząc szablon. Do tego celu trzeba stworzyć kliszę, która – uwaga! – nie toleruje szarości.

Klisza to element, który staje na drodze promieni świetlnych, nie pozwalając im utwardzić emulsji, dlatego musi być stu procentowo czarna. Najczęściej jest to nasz wzór wydrukowany na przezroczystej folii bądź kalce. To, co później wyobrażamy sobie w każdym możliwym kolorze, najpierw musimy pomyśleć na czarno, nie da się inaczej. Każdy szary, niezdecydowany punkt naszego projektu przepuści światło i utwardzi emulsję, psując efekt. Gradacja koloru? Proszę bardzo, ale może ona powstać tylko przez nagromadzenie czarnych kropeczek. Później staną się one każdym kolorem, jaki zapagniemy, najpierw jednak muszą być zerem albo jedynką, światłem albo jego brakiem.

W sitodruku nie ma miejsca na niedomówienia. Coś jest albo tego nie ma...

*JUSTYNA OSTROMECKA prowadzi pracownię „Sitko”, w której zajmuje się tworzeniem przedmiotów z papieru i tkanin z użyciem sitodruku ręcznego. Każdy z jej produktów jest od podstaw projektowany i tworzony ręcznie.

WALDEMAR TYCHEK

„Outsider” Arno Holz i „Noblista” Thomas Mann

Dziesiątego grudnia 1929 roku, w sali sztokholmskiej filharmonii, tuż przed odebraniem Nagrody Nobla z rąk króla Gustawa V, Tomasz Mann stał w otoczeniu innych noblistów i nerwowo przetykał słinę¹. Jeszcze niecałe dwa miesiące temu, przed ogłoszeniem Akademii Szwedzkiej nazwiska laureata nagrody, walczył o swoje uznanie w oczach wpływowych decydentów, mogących w jakikolwiek sposób oddziaływać na werdykt. Wszak za jego nominacją stał Anders Österling – od 1919 roku członek Akademii i bardzo wpływową w niej postacią. Dlatego tak bardzo irytowały go nadchodzące na początku października 1929 r. wieści o rosnącym poparciu dla kandydatury pochodzącego z Rastenburga (Kętrzyn) Arno Holza. Pisał wówczas do Gerhardta Hauptmanna (noblisty z 1912 r.), że gdyby Holzowi przyznano Nagrodę Nobla, byłby to wybór „absurdalny i skandaliczny” i cała Europa „upadłaby na głowę z pomieszczenia”². Arno Holz, nominowany przez 412 profesorów i innych nauczycieli m.in. z uniwersytetów w Niemczech, Austrii i Szwajcarii, stanął na czele stawki pretendentów do nagrody. To była jego, począwszy od 1919 roku, już dziewiąta nominacja. Niestety zmarł 26 października, a werdykt Akademii miał być ogłoszony dzień później. Ponieważ regulamin nie przewidywał przyznania nagrody osobie zmarłej, otrzymał ją Thomas Mann – jako tzw. „drugi w kolejce”³.

Arno Holz był uznawany za jednego z twórców niemieckiego „impresjonizmu naturalistycznego”, a później tzw. „naturalizmu konsekwentnego”, jednak recepcja jego twórczości napotykała na liczne przeszkody w środowisku artystycznym Berlina. Krytycy niemieccy przemilczali dokonania młodych twórców, jakby literatura niemiecka w ogóle nie była warta zainteresowania. Poddawali się natomiast modzie na literaturę skandynawską. W 1889 roku Arno Holz wraz z Johannesem Schlafem dokonali więc pewnej mistyfikacji, publikując zbiór własnych nowel pt. *Papa Hamlet* pod nazwiskiem Bjarna P. Holmsena. Jak pisze Stanisław Przybyszewski: „Mistyfikacja się udała – krytyka niemiecka poświęciła całe szpalty temu «niezwykle uzdolnionemu» Norwegowi!”⁴.

Holz i Schlaf jeszcze przez dziesięć lat współpracowali i wspólnie wydawali dramaty oraz prozę. Ich uczniem był urodzony w Szczawnie Zdroju (wówczas Bad Salzbrunn) Gerhart Hauptmann. Jak wielki był wpływ Holza i Schlafa na twórczość przyszłego noblisty oraz ich udział w tworzeniu pierwszego dramatu Hauptmanna *Przed wschodem słońca*, świadczyć może dedykacja, jaką autor opatrzył swoją sztukę (*Den einzigen consequenten Realisten – Arno Holz und Johannes Schlaf; Jedyny konsekwentny realista – Arno Holz i Johannes Schlaf*). Pojawiały się także opinie, iż wkład pracy Hauptmanna był tak naprawdę niewielki i to duet „konsekwentnych realistów” powinien figurować jako twórcy tego dramatu. Hauptmann po wystawieniu swej sztuki odwrócił się, jakby w zawstydzeniu, od swoich

nauczycieli do tego stopnia, że gdy w 1890 roku Holz i Schlaf chcieli swoją sztukę *Rodzina Selicke* wystawić na scenie berlińskiego Lessingtheater, Hauptmann nie przebiegając w środkach zabiegał przeciwko temu.

Na przełomie 1891 i 1892 roku ukazało się dwutomowe dzieło *Sztuka, jej istota i jej prawa* (*Die Kunst, ihr Wesen und ihre Gesetze*), które „zatrzęsło” teoretykami i krytykami sztuki za sprawą m.in. słynnego równania Holza:

$$\text{Sztuka} = \text{Natura} - x$$

gdzie kwestią nie do końca zgłębną była niewiadoma „x”. Krytycy prześcigali się w interpretacji, a teoretycy podchodzili do tego ze stoickim spokojem. Wszak wzór stanowił definicję naturalizmu, gdzie Sztuka winna się równać w jak największym stopniu Naturze, „x” zaś oznacza po prostu język i formę artystyczną, które powinny sięgać jak najbliżej zera.

Gdy w latach 1898-1899 Arno Holz wydał dwa zbiory wierszy opatrzone wspólnym tytułem *Phantasia*, krytycy natychmiast rzucili się, by wytknąć Holzowi obce wpływy, m.in. Walta Whitmana i poetów chińskich. Te ataki były oczywiście chybione, ponieważ Holz w *Phantasie* porzucił ostatecznie rym i metrum na rzecz naturalnego i wewnętrznego rytmu języka. Jeżeli chodzi natomiast o fascynację, to bliżej mu raczej było do Japonii niż Chin. Interesowała go zarówno architektura japońska, zabawki (sam też zajmował się wyrobem zabawek, które potem sprzedawał), jak i poezja, a zwłaszcza haiku. W 2017 roku ukazał się artykuł *Effects of Japanese Art. On French and German Literature in the Nineteenth Century*⁵, w którym autorka Ingrid Schuster sugeruje związki między twórczością Matsuo Bashō, uznanego za twórcę haiku a systemem wersyfikacji zastosowanym przez Holza w *Phantasie*.

W latach dwudziestych ubiegłego wieku rośnie jednak zainteresowanie *Phantasusem*. W 1922 r. Holz zostaje nominowany do Nagrody Nobla za *Phantasia* przez 39 profesorów z Niemiec, Austrii, Szwajcarii i Czechosłowacji. Nominacje te powtarzają się w kolejnych latach, co wzbudza popłoch wśród innych pisarzy niemieckich. Nie liczą się z tym, że za nominacjami Holza stoją profesorowie z renomowanych uczelni całej Europy (jedynie w 1919 roku za nominacją Holza podpisało się czterdziestu niemieckich pisarzy). Holz, opuszczony i „zdradzony” przez Schlafa, Hauptmanna i innych, borykający się z biedą i chorobą, odchodzi na dzień przed ogłoszeniem nazwiska laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

Thomas Mann po odebraniu Nagrody Nobla, z dogłębnie ustylizowaną skromnością, stwierdził w wywiadzie, że, jego zdaniem, Arno Holz z pewnością bardziej od niego zasłużył na tę nagrodę⁶. Upublicznione w 1975 roku pamiętniki przedstawiają jeszcze inne epizody, gdzie hipokryzja Manna brała górę nad zwyczajną, ludzką przyzwoitością.

1. Zob.: <https://www.nobelprize.org/ceremonies/the-nobel-prize-award-ceremony-1929/>

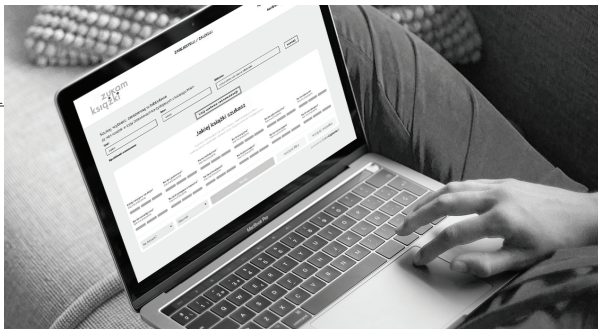
2. Cyt. za: Blankenship Janelle, *Arno Holz vs. Thomas Mann: Modernist Media Fantasies*, „Modernist Cultures” 1, nr 2 (2005), s. 86.

3. Ibidem.

4. Przybyszewski Stanisław, *Moi współcześni*, Biblioteka Polska, Warszawa, 1930, s. 113.

5. Ingrid Schuster, *Effects of Japanese Art. On French and German Literature in the Nineteenth Century* [In:] *Faszination Ostasien Zur kulturellen Interaktion Europa-Japan-China Aufsätze aus drei Jahrzehnten*, Peter Lang Bern 2007, s. 85-86.

6. Por.: <https://www.tagessanzeiger.ch/kultur/buecher/eine-verrueckte-familie/story/12396616>



MARLENA BRZOZA

Robot z Olsztyna czyta książki (w bibliotece)

Czy wiesz, że w książce *Pięćdziesiąt twarzy Greya* imię Christian pojawia się aż 1014 razy, a imię Anastasia tylko 447? Próbowaleś to kiedyś policzyć? Sztuczna inteligencja robi to w kilka sekund.

Zastanawiasz się pewnie, po co liczyć częstotliwość występowania słów w tekście, ale przecież to właśnie w tekście jako systemie znaków zawarty jest klucz do serca czytelnika.

Zespół specjalistów od uczenia maszynowego i sztucznej inteligencji z Olsztyna opracował algorytmy, które „czytają” książki i potrafią ich treść połączyć z cechami fabuły do tej pory możliwymi do uchwycenia wyłącznie przez człowieka – czy książka bawi, zasmuca, porusza, przeraża... Po raz pierwszy efekty wspólnej pracy technologicznego startupu Literacka z Olsztyńskiego Parku Naukowo-Technologicznego i Instytutu Książki zostały zaprezentowane podczas tegorocznych Warszawskich Targów Książki. Kolejne wystąpienie na ten temat odbyło się jesienią na targach w Krakowie.

Pomysł na system rekomendujący książki z wykorzystaniem AI narodził się w kameralnej księgarni w Olsztynie, w której spotkały się pewnego razu Ula Witkowska – wtedy bibliotekarka i Małgosia Sieniewicz – wtedy księgarka. Przez pięć następnych lat zbierały informacje o fabulach książek. Wśród niemal 30 osób oznaczających książki według różnych cech byli blogerzy książkowi, literaturoznawcy, bibliotekarze, redaktorzy. Pod koniec ubiegłego roku, wspólnie z Instytutem Książki, dane o książkach dostarczali także wytrawni wielbiciele książek zrzeszeni w Dyskusyjnych Klubach Książki przy bibliotekach w całej Polsce. Tak powstała baza, na której swoją naukę, niczym w szkole, rozpoczął Automatyczny Recenzent.

– Z tego, co wiem, nikt poza nami nie prowadzi takich badań na tak długich tekstach jak powieści – mówi Urszula Witkowska z Literackiej. – A zwłaszcza dla języka polskiego, który jeszcze do niedawna nawet naukowcom jawił się jako zbyt skomplikowany, by nauczyć AI rozumienia długich tekstów czy tworzenia fabularnych treści.

Jak się jednak okazuje, taki system ułatwiający czytelnikom wybór lektury spośród tysięcy dostępnych tytułów został stworzony i jest już po pierwszych testach! Można z niego korzystać między innymi na stronie szukamksiazki.pl. Strona jest adresowana do czytelników wszystkich bibliotek korzystających z systemu bibliotecznego MAK+, w tym między innymi do czytelników Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie. Na szukamksiazki.pl można wypróbować rekomendacje AI – wystarczy określić cechy fabuły i sprawdzić jakie propozycje wybiorą dla nas algorytmy.

Tzw. Automatyczny Recenzent jest rozwiązaniem dedykowanym dla księgarń internetowych, wydawnictw i bibliotek, jako narzędzie ułatwiające wybór kolejnej książki do czytania.

To pierwsza, ale nie jedyna umiejętność AI. Robot potrafi odnaleźć w tekście mnóstwo informacji, takich jak czas i miejsce akcji, jacy bohaterowie występują, czym się zajmują,

a nawet ich stany emocjonalne. Teraz Automatyczny Recenzent większość cech rozpoznaje w 90% – tak jak człowiek! Za to rozpoznawanie kategorii literackich – to czy książka jest kryminałem, romansem, czy należy do gatunku fantastyki – ocenia nawet lepiej.

Czy zatem można zastąpić człowieka także w tak twórczej dziedzinie, jaką jest odbiór dzieła literackiego? – Raczej nie – mówi dr Krzysztof Sopyła, kierownik prac badawczo-rozwojowych Literackiej. – Jednak im więcej czynności powierzymy sztucznej inteligencji, tym więcej czasu nam zostanie na bardziej kreatywne zadania związane z publikowaniem.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat działalność wydawnicza bardzo się zmieniła; publikowanie stało się cyfrowe, ale procesy w dużej mierze pozostały takie same. Autor pisze książkę, redaktor poprawia tekst, który następnie jest drukowany. Jednak w tym okresie skala i złożoność pracy wydawcy drastycznie wzrosła. Rocznie w Polsce wydawanych jest ponad 38 000 tytułów. Dzisiaj żaden specjalista nie jest w stanie nadążyć za badaniami w swojej dziedzinie. Podobnie wydawcy nie mogą już stosować tradycyjnych ręcznych metod edycji i druku. Narzędzia AI mogą przyczynić się do wzrostu wydajności i jakości procesu wydawniczego. Komputery nie zastąpią człowieka, ale wiele ludzkich czynności można ulepszyć i usprawnić za pomocą narzędzi AI.

Bez wątpienia AI zmienia krajobraz informacyjny w sposób, którego nawet nie możemy przewidzieć. Tak jak wprowadzenie energii elektrycznej zrewolucjonizowało sposób życia, tak sztuczna inteligencja zmienia naszą codzienność w sposób, którego nie jesteśmy w stanie przewidzieć.

17 października na Targach Książki we Frankfurcie sztuczna inteligencja wybrała jedną z tysięcy nadesłanych nowo napisanych książek, wskazując ją jako prawdopodobny bestseller. Czy rzeczywiście wybrany tekst będzie bestsellerem, a może jego autor otrzyma kiedyś Literacką Nagrodę Nobla? Tego nie wiemy, ale nawet jeśli oddawanie w „ręce” algorytmów tak ludzkiej dziedziny, jaką jest kultura, napawa nas lękiem, i tak musimy pogodzić się z tym, że wykorzystywanie AI w literaturze staje się faktem.

Projekt „Automatyczny Recenzent – inteligentny system rekomendacji książek” jest realizowany w ramach Działania 1.1: Projekt B+R przedsiębiorstw Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014-2020 współfinansowanego ze środków Europejskiego Rozwoju Regionalnego, Poddziałanie: Badania przemysłowe i prace rozwojowe realizowane przez przedsiębiorstwa.



TOMASZ GUDACZEWSKI

Zbiory podzbiory – kolekcje i zbieracze

Susan Sontag – pisarka, eseistka i społeczna wicherzyca – zapisała kiedyś w książce, którą naprawdę lubiła, że świat kolekcjonera potrafi dać świadectwo miazdzącej obecności innych światów, energii domen i epok, które są odmienne od tych, w jakich on sam żyje.

Takie odmienne światy od wieków pasjonowały badaczy, wielu podejmowało próbę ich opisu – matematycy poszukiwali sposobu na ogląd wszechświata liczbami, kolekcjonerzy pragnęli zatrzymać odchodzące, stworzyć z eksponatów mikrokosmos, który mógłby opisać otaczającą ich rzeczywistość lub zatrzymać czas w przedmiocie. Opisywano i badano wszystko: faunę, florę, minerały i gwiazdy, wyroby rąk ludzkich oraz zadziwiające twory natury. Ludzka ciekawość stała się motorem rozwoju.

W numerze poświęconym matematyce wypadałoby zacząć od liczb, porównać: co, ile, za ile i kiedy; zaczniemy jednak od człowieka.

Nie sposób w kilku słowach naszkicować historię kolekcjonerstwa i połączyć ją z matematyką, choć zapewne jakiś wybitny umysł ścisły potrafiłby znaleźć na to skomplikowany matematyczny wzór. Łączenie kolekcjonerstwa z algebrą to zaprawdę karkołomne zadanie. Z pewnością jednak coś te dwie dziedziny może scalić. Najprościej, kiedy będzie to człowiek, który, jak wiemy, od zarania dziejów miał potrzebę posiadania, zbierania, selekcjonowania, kategoryzowania oraz opisywania rozmaitych obiektów i zjawisk.

Zbieranie, opracowywanie, katalogowanie, zbiory, podzbiory, części składowe, kalkulacja to nic innego, jak części składowe kolekcjonowania i zdawać by się też mogło, że czysta algebra.

Minione wieki aż roją się od przedziwnych amatorów, intelektualistów wszelkiej maści, „wariatów” zbieractwa i poszukiwaczy prawdy, którzy czy to w cyfrach, którymi chcieli opisać otaczający ich świat, czy w przedmiotach, którymi się otaczali, odnajdywali sens istnienia. To człowiek sprawia, że coś stawało się pasją, a coś życiowym wyborem; zdarza się, że oba czynniki łączą się ze sobą, przenikają, stając się i drugim zarazem. Punkty dodatnie i punkty ujemne – nie sposób policzyć, których jest więcej.

Powszechnie wiadomo, że kolekcjonować można wszystko. Kolekcjonerstwo jako antropologia minionej codzienności, symboliczny dialog przeszłości z przyszłością, poszukiwanie relacji etc., to temat dobry dla badaczy kultury, niekoniecznie jednak do poszukiwania matematycznych związków. Umberto Eco, autor *Imienia róży* i *Szaleństwa katalogowania*, semiolog, filozof i bibliofil, pasjonat, który zebrał ponad 50 tysięcy przedmiotów w swoim domu w Mediolanie, był zapalonym kolekcjonerem ksiąg wszelakich. Zawdzięczamy mu refleksję o formach otwartych i zamkniętych w zbiorach. Literatura rozjaśnia nie tylko mroki dziejów.

Do tworzenia uporządkowanych zbiorów niezbędne jest właściwe piśmiennictwo, to ono otwiera wrota wiedzy. Kiedy rozpoczynałem swoją przygodę z porcelaną, nie zdawałem sobie sprawy, że współautorem jednej z najpopularniejszych książek na rynku polskim, będącej często pierwszym podręcznikiem amatora polskiej porcelany, jest matematyk, logik i ekonomista oraz zapalony kolekcjoner Jerzy Maria Michał Łoś.

Porcelana polska to nieoceniona pozycja w biblioteczkę każdego zbieracza białego złota, który szuka kluczy do słynnych wytwórni w Korcu, Baranówce, Tomaszowie oraz wielu innych. To, że porcelana zachwyca wielu zbieraczy, nikogo nie powinno dziwić. Kolejnym matematykiem, którego oczarowała kruchość ceramiki i jej piękno, był Marceli Stark, polski matematyk, jeden z przedstawicieli lwowskiej szkoły matematycznej, autor i współautor podręczników z algebry, asystent Stefana Banacha, autora pierwszej aksjomatycznej definicji przestrzeni nazwanej później jego imieniem – przestrzenią Banacha.

Ludzie tworzą sieci społeczne, genealogiczne układy powiązań, kulturowe sieci znaczeń, podobnie jak kolekcje zbiory i podzbiory, które w niezwykle sposób łączą się ze sobą, przekazując sobie części składowe, wspólne relacje, związki i znaki. Te dwa światy, meandrując, przenikają się i wiążą. Niezwykłe bywają losy ludzkie, zadziwić mogą wędrówki przedmiotów. Kolekcje zazwyczaj tworzą przedmioty niezwykle, ta materia pozbawiona sfery użytkowej włączona przez kolekcjonera do jego królestwa, przekazywana między pokoleniami na przestrzeni dziejów niesie ze sobą informację. Kolekcja staje się zbiorem, dla którego wartość materialna jest jedynie jedną ze składowych, nie zawsze tą najważniejszą. Kolekcjoner staje się ważną postacią w dziejach. Tworzone przez zbieraczy zbiory i kolekcje, potem gabinety osobliwości i pokoje cudów – kunstkamery, wunderkammer, cabinet of curiosities – jak by ich nie nazywać, poprzez tematy i zaangażowanie swoich twórców dały podwaliny pod współczesne muzea i instytuty badawcze.

Wątek tworzenia można by snuć poprzez dzieje od starożytności przez cywilizacje Chin, egipskie dynastie, wielkie rody renesansowej Italii, kościoły i rodziny królewskie, wielkich prywatnych kolekcjonerów sztuki etc. Dzięki tym powiązaniom powstawały pierwsze współczesne muzea na całym świecie.

Kto by pomyślał, że nasze codzienne kolekcjonerskie „wariactwo” może mieć swoje korzenie w osobliwych gabinetach cudów tworzonych przez intelektualistów, arystokratów i władców, spośród których jedną z najciekawszych, bezkonkurencyjną na północ od Alp, mogłaby być kunstkamera Rudolfa II na zamku w Pradze. A może inna? Ta, która dała podwaliny pod pierwsze muzeum w Rosji, kunstkamera Piotra Wielkiego w Sankt Petersburgu. Zbiór co prawda był nawet jak na tamte czasy dość makabryczny, zawierał m.in. spory zestaw płodów naznaczonych anatomicznymi wadami, ale były też inne. Pierwsze na świecie



Ryc. Domenico Rempschb, *Gabinet osobliwości*, 1690

uniwersyteckie muzeum – Ashmolean Museum w Oxfordzie powstało, aby pomieścić kurioza, które w 1677 roku przekazał Uniwersytetowi Elias Ashmole.

Renesansowe zainteresowanie człowiekiem i światem przyczyniło się do powstawania kolekcji, zbiorów gabinetów osobliwych, aby wraz z oświeceniem dać impuls do rozwoju nowoczesnej nauki i z czasem odejść w przeszłość.

Wspomniany już ostatni z rodu Działyńskich, fundator wspomagający swoim majątkiem nie tylko polskich matematyków, ale także i inne dziedziny: nauki przyrodnicze, medycynę, agronomię, filologię, 21 lutego 1857 roku w Paryżu poślubił księżniczkę Izabellę z Czartoryskich, córkę księcia Adama Jerzego Czartoryskiego. Małżeństwo osiadło na zamku w Gotuchowie, gdzie Izabella Elżbieta z Czartoryskich Działyńska umieściła swoją kolekcję dzieł sztuki z przeznaczeniem na ogólnodostępne muzeum. Imię odziedziczyła zapewne po babce ze strony ojca, Izabeli Elżbiecie Dorocie z Flemmingów Czartoryskiej, twórczyni kolekcji pamiątek narodowych i pierwszego polskiego muzeum założonego w 1801 roku w Świątyni Sybilli w Puławach. Historia życia tej niezwyklej arystokratki z powodzeniem mogłaby stać się kanwą scenariusza hollywoodzkiej superprodukcji, podobnie jak ludzie, z którymi się zetknęła i przedmioty, które zebrała w swoim gotyckim domu.

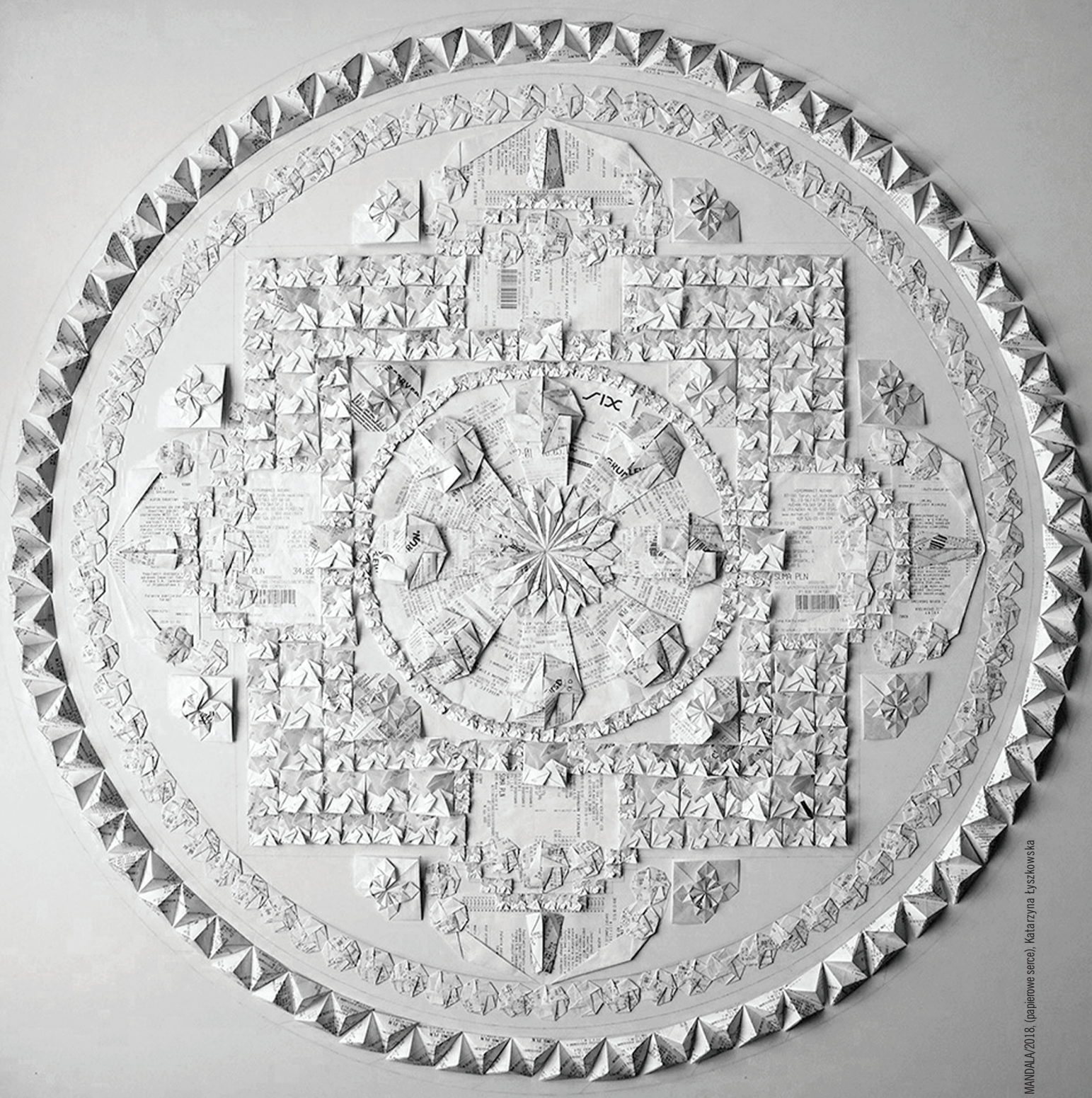
Ludzkie losy i przedmioty, z którymi związany był człowiek, tworzą przedziwne sploty, łącząc miejsca, czas i ludzi. Opowieści można snuć wiele i długo, bowiem odnóg i wątków bezmiar. Dość powiedzieć, że z Izabellą z Flemmingów Czartoryską związani swoim losem byli Jan Piotr Norblin, Kościuszko i baron Dominique Vivant Denon, minister do spraw sztuki w służbie Napoleona Bonaparte, zapomniany twórca wielkości Napoleońskiego Luwru oraz poszukiwacz grobu Kopernika na Warmii. On sam w jednej osobie łączył trzy epoki. Ten niezwykle, należący do czasów oświecenia, człowiek utrzymywał przyjazne związki z Polakami. Żapałony kolekcjoner i literat, malarz, grafik i rysownik; medalier, krytyk sztuki, dyplomata; podróżnik, dyrektor Mennicy Paryskiej, szef manufaktury w Sevres; członek wydziału Sztuk Pięknych Instytutu Francuskiego, dyrektor Muzeów Cesarskich, libertyn

i kobieciarz, światowiec, z woli Cesarza twórca najwspanialszego muzeum na świecie. Po śmierci patrona utknął wraz ze swoimi zbiorami w kunstkamerze przy Quai Voltaire w Paryżu.

Czy przejechał przez Olsztyn z Wielką Armią Napoleona? Kto wie? Wiemy, że był pod Pruską Itawą, w Toruniu, na polecenie Cesarza, wykonywał szkice portretów Kopernika, które miały pomóc Antonio Canovie stworzyć portret słynnego astronoma. Widziano go też w Malborku i Gdańsku, gdzie należycie ocenił dzieło Hansa Memlinga, pojawił się w Elblągu, skąd zabrał ciekawą kolekcję starożytnych medali.

Za sprawą znajomości Denona ze Stanisławem Kostką Potockim do tworzonej przez Izabellę Czartoryską kolekcji trafiły bezcenne pamiątki i osobliwości przedziwne, m.in. relikwie Cyda i Chimeny, Abelarda i Heliozy, paciorki Blanki Kastyljskiej, wycisk gipsowy zdjęty z twarzy króla Henryka, tabakiera Napoleona, kawałek nogi słynnego krzesła, strzęp sztandaru z bitwy pod piramidami i cztery osobiste szkice Denona wykonane tamże. Wygląda na to, że romantyzm i wojna, grabieże i związki, sploty ludzi i wydarzeń stały się podwalnią zbioru osobliwości pierwszego polskiego muzeum.

W numerze poświęconym matematyce wypadałoby więcej o cyfrach, niestety do tego potrzebna jest specjalistyczna wiedza. Świat kolekcjonerskich odkryć, podobnie jak nieprzebrana przestrzeń matematyki, potrafi skrywać swoje tajemnice. Obie pasje, poszukując odpowiedzi, poruszają się w labiryncie znaków, symboli i znaczeń. Przedmiot jest znakiem materialnym, który może mieć różną wartość, podobnie jak słowa, opowieści i fakty, może być nośnikiem informacji, ukrytego komunikatu lub niemym świadkiem minionego czasu. Żeby go lepiej zrozumieć, poznać i usłyszeć jego historię dobrze poza intuicją podeprzeć się wiedzą. Wspomniany Stanisław Kostka Potocki, człowiek oświecenia, kolekcjoner, wolnomularz, miłośnik wiedzy, poseł, senator i wojewoda przestrzegał przed baronami ciemnogrodu, dając świadectwo, do jakiego świata brak poszanowania człowieka i wiedzy może nas zaprowadzić.



MANDALA/2018, (papierowe serce), Katarzyna Byszowska

